

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



LUCYFER

FRANCISZEK STUCK



Adam Krechowiecki.

## FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

7).

Nawój zachnął się gwałtownie i przerwał żywo:

— Nie pozwól tego uczynić, Miłościwa Pani, nie pozwól!...

Ale wnet, widząc zdziwione spojrzenie królowej, dodał:

— A Reginka?... byłąby skłonna?...

Jadwiga uśmiechnęła się, niemal wesoło:

— A któraż niewiasta nie rada, widząc cichy hold miłości?... Słyszycie ten śpiew? Upaja on i pieści!...

— Szatańska to pieszczota... szatańska!—przerwał surowo ksiądz.—Zresztą—dodał po chwili—Reginka jest takiego rodzaju, że nie może, nie powinna...

Jadwiga zdumiony wzrok podniosła na niego.

— Jakto?—spytała—Reginka?... przecie matka jej, stara Czochna, była na dworze budzińskim...

— Tak!—przerwał Nawój—była sługą... Ale ona nie była jej matką, jeno piastunką sierotki... gdym ją ze sprośnego cylejskiego zamku uwiózł i pod opiekę matce Waszej, Najjaśniejszej królowej Elżbiecie, dał...

— Więc któż jest ona... Reginka?—z zaciekawieniem spytała Jadwiga.

Nawój ciągle niespokojne rzucał spojrzenia na okno, przy którym stała Reginka, zapatrzona w nie, wsłuchana w śpiew, który nie milknął, i obca wszystkiemu, co się wkoło niej działo. Na pytanie przeto królowej z roztargnieniem odparł:

— Pytajcie, królowo, pani Beskiej... Ona wszystko wie... Ja tyle jeno wam rzec mogę: Reginka jest córką rycerza polskiego ze znamienitego Toporezyków rodu... a jam jest jej prawym i jedynym opiekunem...

To rzekłszy, podszedł żywo do okna i pochwyił Reginkę za rękę. Dziewczę drgnęło, jakby ze snu obudzone, ksiądz zaś rzekł niemal porywco:

— Pomnij, coć mówię: na straży serca swego stój... zawrzyj oczy i uszy na pokuszenia złe. Z pieśni miłosnych płynie jad, który duszę zatruwa...

Reginka zbladła nagle i głowę chyliła w zaleknieniu. Nawój zaś przyprowadził ją przed królowę:

— Oddaję wam, Miłościwa Pani, pod opiekę to, co na świecie najdroższego mam... Przysięgłem czuwać nad nią i czuwać będę. Przed momentem żądaliście, królowo, iżbym was nie opuszczał... Macie oto, Miłościwa Pani, najlepszy zakład wierności mej... Opuścić was nie mogę, bo Reginka jest z Wami i przy Was...

Jadwiga objęła ramieniem jasnowłose dziewczę, i moment stały tak razem; obie promienne urodą, obie wzruszone głęboko i rzewnym a podobnym przejętym smutkiem. Obie czuły w tym momencie, że jakaś prze-

moc, nade wszystko silniejsza, rozpraszała ich marzenia, że sercom ich czyniono gwałt. Dźwięki lutni umilkły, echo ich brzmiało jeszcze w duszy, ale wokół zaległa ponura cisza...

Nawój wychodził z komnaty, gdy u samych podwoi podbiegła ku niemu Reginka. Kornie pochylila główkę, i na twardej ręce księdza gorący pocałunek składając, szepnęła:

— Ale ja, ojcze, nie uczyniłam nic złego!... przeto gniewu nie miejcie... Z tą myślą usnąćbym nie mogła...

I podniosła na niego jasne oczy, błagające a pełne łez...

Głuche łkanie ozwało się w piersi księdza. Podniósł rękę i błogosławił dziewczę, które mu się do kolan chyliło.

— Bóg z tobą!—zaledwie wyjąkać zdołał i wyszedł.

W antykamerze czekała pełna niepokoju ochmistrzyni.

— I cóż? i cóż królowa?...—spytała.

— Łaska Najwyższego—odparł ksiądz—mocna jest natchnąć serca ludzkie odwagą... Teraz jest walka, jest trwoga i niepewność. Modlić się nam gorąco potrzeba...

Po chwili zaś dorzucił:

— Królowa pytać was będzie o przeszłość Reginki.

— Kilkakrotnie mnie już pytała—wtrąciła pani Beska;—odpowiedziałam, jako nie pewnego nie wiem...

— Teraz—rzekł Nawój—powiedźcie jej wszystko... Powiedźcie, że to syna mego córka... że gdym ja, rzuciwszy wszystko, do Rzymu na pokutę szedł, gdy potem rodzic mój zmarł i małżonka... pozostał mi syn, którego dalsza rodzina przyjąć nie chciała i za mnie karmiła pogardą... On tedy na dwór króla Loisa, na zamek budziński poszedł... tam w lat kilka na Węgrzech marnie zginął... pozostawiając niemowlęciem córkę Reginkę, która za waszej już pamięci naprzód w Budzie, a potem na niecnym cylejskim dworze w zapomnieniu, wśród obelg i pod obcym mianem chowana była... Tak jej powiedźcie. Ale Reginka niech jeszcze o tem nie wie. Sam jej to odkryję, gdy czas przyjdzie... Teraz zaś na sumienie zaklinam was... strzeżcie tej dziewczętki!... strzeżcie jej serca i myśli... i miłujcie, jak matka...

Ochmistrzyni w dłonie klasnęła:

— A któżby nie miłował tego jasnowłosego dziewczęcia!—zawołała.—Jak żrenicy oka strzegę... Jeśli zaś trwożycie się tem, iż na jej cześć ów młody cytarzysta Siemko z Bełza pieśni zawodzi, to obawa płonna. Zaczne to i mile pachole...

Po chmurnem obliczu Nawoja przemknął błysk, zapaliły się oczy; na ustach osiadł wyraz dumy, snadź nie stłumionej kapłańską szatą.

— Z Toporezyków jest rodu—rzekł głucho—Taki Siemko nie dla niej... A nad jej sierocą głową zawisła klątwa... z dziada, który chorągwi swej rycerskiej ocalić nie umiał, i z rodzica, który w niemowlęctwie porzucony, w rozpuście żył i tak zginął... Przeto czystą Reginki duszę ofiarowałem Bogu... Niech jeno do lat dojrzałych dojdzie, iżby wiedziała co czyni... Z jej głowy klątwę zdjąć chcę... a tę zdjąć mocna jest nie miłość ziem-ska, jeno ofiara...

Ochmistrzyni z pewnym lękiem patrzyła na surową twarz Nawoja. Żal ścisnął serce, iż on tę cudną dziewczętkę, swobodną i wesołą, śmiejącą się ku życiu, na ofiarę w murach klasztornych chciał uwięzić, ale nie mogąc się przeciw, odrzekła kornie:

— Prawo macie, ojcze, uczynić jako chcecie...

Tymczasem królowa udała się na sypialnię, do sypialnej komnaty. Tam po odprawieniu modlitw wieczornych, panny służebne rozebrały ją z sukni, rozplotły bujne ciemne warkocze i, ułożywszy na miękkim posłaniu i wezgłowiach, odeszły. Pozostała jeno, najmiłsza jej teraz, po zniknięciu Elżbietki, Reginka. Usiadła na ławeczce, umieszczonej u spodu łóżka Jadwigi i jak codziennie wesoło gwarzyć poczęła. Mówiła o Siemku i jego cudnej pieśni...

Ale królowa nie słuchała dzisiaj jej szczebiotu, zapatrzona przed siebie. I nagle spytała:

— Tys, Reginko, zaledwie lat kilka na budzińskim była dworze... Przywiódł cię ksiądz Nawój i pod opiekę matki mojej dał... A przedtem masz-li pamięć, gdzieś była?

Z ust Reginki pierzchnął uśmiech. Pobladła twarzyczkę ukryła w dłonie.

— Och! och!—westchnęła.—Wszak wiecie, królowo, na cylejskim byłam dworze...

— Długo?

— Nie pomnę... Od rannego dzieciństwa...

Odjęła dłonie od twarzy i, zaleknionemi oczyma patrząc przed siebie w dal, mówiła:

— Smutne dzieciństwo! Od kiedy zapamiętam, widzę przed sobą mury zamczyska na stromej skale. Babka Wasza, starsza królowa Elżbieta, przeznaczyła mnie tam na towarzyszkę rówieśnej mi sierotki, córki zmarłego grafa cylejskiego Wilhelma, której na imię Anna...

— Wnuczka Kazimierza Wielkiego, — szepnęła Jadwiga—siostra moja...

— Tak mówiono po cichu w zamczysku,—ciągnęła dalej Reginka—bo głośno tego rzec nie można było, a owa Anna, chociaż, jak szeptano, tronu polskiego dziedziczka, żyła w takiej samej, jak ja, poniewierce i zaniedbaniu.

Jadwiga poruszyła się żywo i, siadając na łóżku, zawołała:



— Dziedziczką tronu polskiego ona być nie może, nie!

Reginka z pewnym zdziwieniem spojrziała na rozplamioną w tym momencie twarz swojej pani i, poprawiając się, rzekła:

— Gadano baśnie w tym zamku... a graf Herman, tam panujący, surowo karcił każdego, kto by o tem mówić chciał...

— A owa Anna—spytała Jadwiga—zali wie o tem?

— Nie wspomina nigdy... Raz tylko, pomnę, igrałyśmy obie na dziedzińcu zamkowym... Na skale, na której zamek zbudowany, nie rosną nawet drzewa. Było jedno tylko, ogromne, rozłożyste, które odwiecznym dębem zwano, i pod niem igrałyśmy, chroniąc się od skwaru, który dnia tego wielki był... Anna, weselsza niż zwykle, zbierała liście i gałązki i, upłótszy z nich wieniec, włożyła go sobie na głowę, wołając ze śmiechem:

— Jam jest polska królowa!

— I cóż? i cóż?—pytała Jadwiga, iskrzącym wzrokiem spoglądając na Reginkę.

— Posłyszał to graf Herman... Przybiegł wściekły; mnie potracił tak, iżem nieledwie omdlała z przestachu, upadła na ziemię, Annę zaś porwał za ramię i, obdzierając owe liście i gałązki, krzychał:

— Jak śmiesz? kto ci to rzekł?... jak śmiesz!... Wyznaj, kto ci rzekł!...

— A ona?

— Ona zrazu z wielkiego lęku mówić nie mogła... A potem wyjąkała, że matka... Na to graf szarpać ją począł i trząść nią tak silnie, że myślałam, iż ubije. A krzychał ciągle: — „Nie prawda! nie prawda!“ Litością zdjęta, chociaż z trwogi wielkiej ledwie ruszyć się mogłam, przyczołgałam się na klęczkach do stóp grafa i z płaczem wyznałam, że to nam mówił Dobrogost...

— Co zacz był?...

— Polak, pono z Krakowa... który, jak nam powiedział, za lat dawnych, z rozkazu rodzica Waszego, króla Loisa, matkę owej Anny, także Annę, córkę króla Kazimierza Wielkiego, na dwór cylejski prowadził, kędy ją graf Wilhelm poślubił. On nam nieraz cudne opowiadał rzeczy, po polsku uczył, pieśni śpiewał, nakazywał pobożność, a nieraz tuląc biedną Annę do siebie, powtarzał nieledwie z płaczem:—„W takiej poniewierce królewska krew!...“

— Więc ty go wydałaś?...—spytała głucho królowa.

Reginka znów twarz rękoma zakryła.

— Och!—wyjąkała—ze strachu i litości nad biedną Anną, nie wiedząc co czynię... wydałam! Widzę jeszcze w tym momencie zbladłe oblicze Anny, czuję na sobie spojrzenie jej szeroko otwartych oczu, którem karciła mnie za to wyznanie, i słyszę szept jej, powtarzający uparcie: „Nie! nie! to nie Dobrogost!...“ albowiem ona Dobrogosta tego nade wszystko miłowała...

Nagłym ruchem Reginka ukłękła na ławeczce przy łóżku i, składając ręce, zawołała:

— Królowa, pani moja! nie każcie mówić dalej, to straszne!...

Jadwiga osunęła się na wezgłowie i z oczyma utkwionemi w górę, myślała moment. O Annie cylejskiej słyszała ona na budzińskim zamku, dokąd ów graf Herman przebywał często. Zwano go dziedzicem

Bośni, banem chorwackim... Wiedziała Jadwiga, że owa Anna była, zarówno jak ona, wnuczką Kazimierza Wielkiego, od dziedzictwa jednak odsunięta... Dlaczego?—to było dla niej tajemnicą. Dlaczego tamta była w takim opuszczeniu i poniewierce, gdy ona!...

Ta myśl, jak dręcząca zhora, gnębiła w tym momencie jej tkliwą duszę. Więc nie bacząc na błagania Reginki, rzekła:

— Mów!... mów dalej!...

Dziewczę, klęcząc ciągle, opowiadało tedy:

— O, królowo! co się dalej stało, to strach pomyśleć. Graf jeszcze gorzej wściekł się. Łajać począł Annę okropnymi wyrazami, których obie nie rozumiałyśmy... Wytłómaczono nam je później...

— Jakież to wyrazy?—spytała Jadwiga, coraz bardziej tą opowieścią przejęta.

— Sprośne były...—odparła z cicha, płoniąc się, Reginka — lżył ród jej, a zwłaszcza jej babkę, o której Dobrogost opowiadał nam cudnie, jako piękną była i dobrą jak anioł. A graf Herman krzychał w złości wielkiej, jako ta Jadwiga, księżniczka Głogowska, nie była prawą żoną Kazimierza króla, jeno miłośnicą, że przeto w żyłach Anny nie królewska krew, lecz ohyda płynie. Anna zaś, wijąc się z bólu pod naciskiem pięści grafa, z lęku czy z uporu powtarzała ciągle: „Nie! nie! nie!...“

— Odważnie!—szepnęła Jadwiga. — Tak powinna była rzec, jeśli królewską jest wnuczką...

— Wszakże graf,—ciągnęła dalej Reginka—tym uporem jeszcze bardziej rozszalony, porwał nas obie za ręce i do ciemnych, osobnych cel zamknąć kazał, gdzieśmy dni kilka i nocy o chlebie i wodzie siedziały, aż przybyła matka Anny, która po śmierci jej rodzica innego niemieckiego poślubiła grafa—i wyzwoliła nas z ciemnicy.

— A Dobrogost? — zagadnęła Jadwiga.

— Odtąd nie widziało go ludzkie oko—odparła Reginka.—A pytać nawet o niego nie było wolno. Raz w nocy, w owej ciemnicy jeszcze siedząc, usłyszałam nagle opodał głos Dobrogosta, a potem jęk jego okropny, poczem zaległa najstraszniejsza cisza... Myślałam, że umrę z lęku tej nocy...

I teraz na to wspomnienie drżała na całym ciele. Jadwiga zaś gładziła jej jasną, pochyloną główkę i powtarzała:

— Biedna! biedna!...

— Biedniejsza owa Anna, która tam pozostać musiała... — rzekła Reginka. — Mnie wkrótce potem wyzwolił z tego straszego zamku ksiądz Nawój... Z początku graf Herman wydać mnie nie chciał, chociaż ksiądz mówił, że ma prawo opiekuństwa nade mną, a wydał dopiero wówczas, gdy najjaśniejsza królowa Elżbieta zażądała tego. Wówczas zabrał mnie Nawój i zawiózł na budziński zamek, a odtąd z Tobą, królowo, dobrze mi jest jak w raj, że często stracham się, zali to zawsze tak trwać może? Toż ciebie, miłościwa pani, i opiekuna mego, Nawoja, miłuję nad wszystko, nad życie, bo czemu byłoby ono bez was? Im straszniejsze było dzieciństwo moje, tem piękniejszym teraz wydaje mi się świat, w którym ty, pani moja święta, królujesz...

DCN

## Z tygodnia na tydzień.

✱

*Jeszcze depeza uniwersytetu lipskiego.*

Miesiąc temu zjawiała się w dziennikach wiadomość, że uniwersytet Lipski w odpowiedzi na zaproszenie na jubileusz Akademii Jagiellońskiej napisał, że nad „zaproszeniem tem przechodzi do porządku dziennego.“

Brutalność uczonych niemieckich nie dziwi dzisiaj nikogo. Jeżeli Mommsen mógł zalecać Niemcom austriackim rozbijanie „twardych czerepów czeskich,“ jeżeli jeden z profesorów pruskich mógł wydobyc w parlamencie wiedeńskim nóż i wzbudzić tym „bohaterskim“ czynem entuzjazm wśród młodzieży niemieckiej; jeżeli grono uczonych w Lipsku mogło wyrzucić ze zgromadzenia prof. Lutosławskiego za to, że przemawiał w imię sprawiedliwości—to nie wydawało się rzeczą niepodobną do prawdy, aby senat jednej z najpoważniejszych wszechnic niemieckich nie mógł się posunąć w swojej hakatystycznej zaciekłości aż do tego stopnia.

To też pogłoska o skandalicznej depezy znalazła wiarę i wywołała cały szereg odpowiednich komentarzy.

Tymczasem p. A. R., korespondent lipski „Prawdy,“ ogłasza w N-r 27 tego pisma, że zbadawszy rzecz u źródła, doszedł do przekonania, że pogłoska była fałszywą, i że tekst depezy nie zawierał nic brutalnego. Według p. A. R., depeza uniwersytetu lipskiego brzmiała jak następuje:

„Ces. król. Uniwersytetowi w Krakowie w 500 rocznicę jego istnienia uniwersytet w Lipsku przesyła najszczerze życzenia. Ponieważ uniwersytet krakowski w tych pięciu wiekach swej działalności wszechstronnie i skutecznie w rozwoju wiedzy współdziałał, na wielką liczbę znakomych uczonych, którzy do niego należeli, spoglądać może, i stała zasługa w szerzeniu kultury we wschodnich krajach Europy mu się należy, tedy niech przyszłość tej szkoły jubilatki obfita będzie w błogosławieństwo dla jej własnego dobra, jako też dla dobra wiedzy i ludzkości.—Lipsk, w czerwcu 1900 r. Za Senat Akademicki, Kirchner.“

Brzmi to chłodno, urzędowo, ale zupełnie przyzwoicie.

Jeżeli p. A. R. nie został wprowadzony w błąd, czego przypuszczać niema zasady, to i ci, którzy sensacyjną a niesmaczną plotkę o brutalnej depezy puścili, i ci, co mogąc fałszowi zaprzeczyć, nie zaprzeczyli—postąpili lekkomyślnie i niesumiennie.

Dosyć mamy rzeczywistych powodów do oburzenia się na postępowanie Niemców, żebyśmy potrzebowali szukać sztucznych podniet w plotkach.

Sądźmy, że senat uniwersytetu Jagiellońskiego, który posiada oryginał depezy, powinien opublikować jej tekst i położyć kres domniemaniom i plotkom, które ostatecznie—o ile są plotkami—kompromitują nas tylko.

Kto walczy z niesprawiedliwością, musi sam stać na twardym gruncie sprawiedliwości; kto tęskni do prawdy, nie powinien wojować kłamstwem, bo to broń krucha i zawodna.

✱

*Nasze służące i my.*

Pan W. Rabski dotknął w felietonie „Kuryera Warszawskiego“ sprawy stosunku pań do służących.

Kwestya ta była poruszona przez delegację pracy kobiet przy Muzeum przemysłu, i dyskusya nad odpowiednim referatem doprowadziła do następnych wniosków:

Czem jest w przeciętnym, średnio zamożnym domu istota, skazana na piastowanie godności t. zw. służącej do wszystkiego?



Białą Murzynką, jucznym mułem, na którego barki narzuca się wciąż nowe ciężary bez względu na to, czy jest w stanie, lub nie, podźwignąć je z miejsca.

Ostatnia kładzie się, pierwsza wstaje, a jeżeli wypadnie jej coś zrobić dla siebie, musi czuwać w nocy; inaczej nie opędzi własnych najkonięczniejszych potrzeb.

Jarzmo takie zgnębi i wykolei najuczciwsze dziewczyny. Każda z nich, skutkiem przepracowania, wpada w stan histerycznego rozdrażnienia, które czyni ją krnąbrną, hardą i niesforną.

Panie nietylko nie biorą w rachubę, ale pobudzają jeszcze chorobliwe to usposobienie własną niecierpliwością. Bezwzględność i zbytnie wymagania ich przepełniają nieraz miarę wytrzymałości jucznego wołu.

Nie mając jednej chwili wolnej dla siebie, zaczynają je kraść, przesiadując w mieście dłużej, niż trzeba, wybiegając do bramy, wstępując do do przyjaciółki pod pozorem pierwszych lepszych zmyślonych interesów.

Dawajmy im obowiązkowo parę godzin wolnych w ciągu dnia, nauczmy je cenić i szanować tę wolność, a rozbudzimy w nich poczucie własnej godności i wynikające stąd zrozumienie przyjętych na siebie obowiązków.

Do takich wniosków doszło grono pań z łona delegacji pracy kobiet przy Muzeum popierania przem. i handlu, obradujących pod przewodnictwem pań: Kuczalskiej-Reinschmidt i Bojanowskiej nad referatem: „Nasze służące i my,“ gdzie z całym współzuciem odmalowany został smutny stan miejskich naszych „popychadeł,“ nie znających, co to jest sen i wypoczynek, gnanych od jednego zajęcia do drugiego bieżem groźnych w ych satrapek.

Walczymy o prawa wyrobniczej nędzy, żądamy zmniejszenia liczby godzin jej pracy, a nie widzimy częstokroć złego najbliższego.

Czyż przeciążanie robotą służby domowej nie należy do zwykłych objawów lekkomyślności i braku zastanowienia? czy też to owoc zaniku humanitarnych uczuć naszych? *cw*

✽

Ś. p. Tekla Symonowiczówna.

Ceniony dziejopis cywilizacji na Litwie, dr Józef Bieliński, w pięknej swej pracy o Wilnie w „Słowniku Geograficznym“ (r. 1894, str. 492—533), pokrótce a zwięźle charakteryzując położenie fizyczne grodu Gedyminowego, wzmiankuje między innymi:

„Wilno ma także swoją właściwą florę, co do której szczegóły znaleźć można u Balińskiego (Opis statyst. Wilna, 9.23). Baliński zebrał, co znalazł u Giliberta i Jundziłów; ci ostatni dużo zrobili dla flory krajowej, ale wielu gatunków, wyjącznie wileńskich, nie opisali. Za naszych czasów p. Tekla Symonowiczówna, znana pracowniczka na polu botaniki i właścicielka bardzo bogatego zielnika, przygotowuje do druku opis flory Wilna.“



Tekla Symonowiczówna.

O zgonie (w d. 2 maja r. b.) poważnej a niezastąpionej pracowniczki podały wiadomość dzienniki.

Co prawda, właściwego dzieła botanicznego ś. p. Symonowiczówna pisać nie zamierzała, jakkolwiek, znając dokładnie przedmiot, traktowała go naukowo i nie szczędziła pomocy znanym ba-

daczom w Pradze czeskiej, Lwowie, Wiedniu, Petersburgu, Tyrolu i t. d., gromadząc nadto skrzętnie imponujące zielniki flory Wilna samego i powiatu, stron Lidzkich i po części Grodzieńskich.

Sama kolekcja wileńska Symonowiczówny wynosi 600 okazów roślin. Od r. 1893-go była Symonowiczówna gorliwą współpracowniczką „Zielnika flory polskiej“ (Flora Polonica exsiccata), redagowanego przez prof. Wołoszczaka we Lwowie; od dłuższego czasu korespondowała z d-r Władysławem Dybowskiem, oraz z Maryą Twardowską w Weleśnicy pod Pińskiem i in. pracownikami naszymi na polu przyrodoznawstwa. D-r W. Dybowski przedewszystkiem mógłby opowiedzieć o specjalnych odkryciach naszej herboryzatorki, i mamy nadzieję, że on właśnie przyczyni się do pozyskania jej kolekcji zbiorom krajowym, nie zaś praskim lub t. p., jak projektowano, tembardziej że i siostra p. Tekli Symonowiczówny, której była użyteczną pomocniczką w konserwacji roślin, obstaje za pozostawieniem kolekcji w kraju. Czyżby naprawdę zawsze tak było trudno o miejsce w instytucjach polskich—dla owoców pracy polskiej?..

Co do ś. p. Tekli Symonowiczówny, w jej wieńcu zasług, wśród świeżego i zaszuszonego liścia, barwnie i najobficiej rozwinęły się kwiaty na polu działalności pedagogicznej. Przetrwała S. w charakterze nauczycielki 45 lat: od 17-go roku życia przez lat 18—na wsi, w domach zamożniejszych, poczem aż do zgonu przez lat 27 w Wilnie, jako światła wychowawczyni.

Wyczerpała siły swe w trudach, wierna zawsze wielkiej idei powołania i obowiązku społecznego. *Luc. Uziębło.*

✽

Letnictwo i polityka.

Otrzymałmśmy liścik od jednej ze stałych czytelniczek, poruszający ważne bardzo sprawy...

„Od czasu, jak wyjechałam na letnie mieszkanie, doświadczam samych niepokojów i przeciwności. Najpierw ciągle deszcze, a dach w kilku miejscach przecieka. Więc wędrujemy z jednego kąta w drugi, i muszę sypiać w gumowym płaszczu. A przytem takie straszne rzeczy czytam o tych Chińczykach, że co noc śnią mi się napady i rozboje...“

Czy to prawda, Szanowny Panie, że w Chinach panuje taka niemoralność?

Czy to prawda, że Chinki pomimo krzywych oczu, mają być bardzo przystojne i zalotne?

Czy to prawda, że Chińczycy flirtują, zawieszni warkoczami na gałęziach drzew herbacianych?

Toby było oryginalne i straszne. Przytem pozbawiają znienanidzone żony życia za pomocą forsownego karmienia opium.

Jeśli będzie wojna Chińczyków z Niemcami, bo cesarz niemiecki grozi, że swego nie daruje, to już nie mówiąc o porcelanie, wachlarzach, abażurach i wogóle chińskiej konfekcji—co się stanie, proszę Panów, z herbata? Jeśli tak zdrożeje jak węgiel, to niema po co do Warszawy wracać, i niech mąż stara się, aby poprawili dach i postawili piec.

A to prawdziwe nieszczęście!

Wyczytałam niedawno, że w Paryżu robią suknie ze słomy...

Na lato—przepyszna rzecz!

Dowiedzcie się, Szanowni Panowie, czy Zwiłfus za Żelazną Bramą nie sprowadził wypadkiem tego materyału? Jeśli chłopci chodzą po kilka lat w słomianych kapeluszach, a słomiana strzecha na stodołach i chałupach trwa lat kilkadziesiąt, bo nawet aż mchem porasta, to słomiany materyał na suknie może być niezmiernie trwały. I pewnie pierze się dobrze! Tylko jak prasować?..

Więc proszę pamiętać: słoma i cukier... chciałam powiedzieć: i herbata... Ale takie zarzwanie i tru-

cie to rzecz okropna... I to robią ludzie z warkoczami!.. Podobno pani Szumlańska wymyśliła nowy poncz mrożony? Proszę przysłać wycinek z tym przepisem... A może sprawozdawczyni o modach i strojach wie, co o tej słomie?... Co mchem porasta—proszę pamiętać!... Oddać mężowi w sobotę. On czasami Lijewski, a czasami Wróbel. Ale Wróbel rzadko...

Przyjemnie mi jest... i t. d. *g*

✽

Ś. p. Franciszek Tarczyński.

Kto przybywał do Płocka, a słyszał cokolwiek o zbiorach starożytnych Tarczyńskiego, ten poczuwał się do obowiązku przy zwiedzeniu tego starożytnego grodu zobaczyć i obejrzeć owo muzeum płockie, zgromadzone usilną pracą przy niezasobnych funduszach archeologa.

Dziś ten zapalony zbieracz urn, strzałek i tego wszystkiego, co tchnie starożytnością, już nie żyje. Ten rozkopywacz cmentarzysk i kurhanów w Płockiem umarł na stanowisku, na polu niemal, bo zmarł w d. 30 czerwca nagle w Romatowie pod Sierpcem, dokąd właśnie wyjechał na poszukiwania, na które Kasa Mianowskiego w ostatnim roku wyznaczyła mu 300 rub. zasiłku. Umarł w wieku lat 67, a zwłoki jego spoczęły nie na cmentarzu w Płocku, w mieście, które tak kochał, lecz na cmentarzu w Kurowie, wśród ludu wiejskiego, który nieraz pomagał mu w pracy przy kopaniu. Niech mu tam będzie spokojnie i zacisznie!

Tarczyński—samouk archeolog, wziął się do pracy już w wieku życia późniejszym, gdy inni ustalają się w spokoju sybarytycznym. Widocznie tliła w nim oddawna ta żyłka i zamiłowanie starożytności.



Franciszek Tarczyński.

Dopiero w 40 roku życia zaczął zbierać i zgromadzać, kopać i rozczytywać się w literaturze specjalnej. Zgromadził stosunkowo bardzo dużo; zwłaszcza dział urn, strzałek i monet starożytnych zasługiwał na uwagę, a i pod względem erudycji fachowej zaszedł, jak na samouka, stosunkowo wysoko.

Prace swoje pomieszczał Tarczyński w „Zapiskach archeologicznych,“ „Światowicie,“ „Tygodniku Ilustrowanym,“ „Wędrowcu,“ „Korespondencie płockiej,“ a ostatnio w „Echach płockich i łomżyńskich.“

Pozostały zbiór, jeżeli nie pójdzie w rozsypkę, utrwali po nim pamięć na zawsze. *ag*

Wiktor Gomulicki.

✽

W I E R S Z Y K I.

✽

DO MUZYKI.

Dokąd mię wiedziesz, nimfo tajemnicza?  
Jakież to światy odsłaniasz przede mną?  
Ach! czytać myśli z twojego oblicza  
Byłoby pracą daremną!

Jest w tobie rozkosz, której pierś nie zmieści,  
Jest smutek, który do ziemi przygniata...  
Nie wiem, czyś z kraju szczęścia, czy boleści;  
Wiem, żeś nie z tego świata!





NAMIĘTNOŚCI LUDZKIE

JEF LAMBEAUX

## EGZOTYZM, REALIZM I LEGENDA.

Z POWODU „PORACHUNKÓW“ p. A. SYGIETYŃSKIEGO.

1.)

**N**an Antoni Sygietyński napisał trzy felietony o egzotyzmie w powieści („Kur. War.“ z dnia 5, 18 i 19 maja r. b.).

W pierwszym dał świetną charakterystykę Loti'ego, w następnych dwóch rozebrał bardzo dobrze „Księgę puszczy“ Kiplinga, nowele Dygasińskiego i potrafił z lekka o Sieroszewskiego. Przy tej sposobności jednak, szanowny krytyk wygłosił kilka zdań, domagających się sprostowania faktycznego, i poruszył kilka kwestyi, nadających się do rzeczowej dyskusyi.

Rozpatrzmy najpierw kwestyę „egzotyczności“ utworów Kiplinga i Sieroszewskiego. Pan Sygietyński twierdzi, że, ponieważ Kipling urodził się w Indiach Wschodnich, a Sieroszewski wychował się (sic!) wśród Jakutów, Czukczów etc., więc obaj nie mają prawa do nazwy pisarzy *egzotycznych*.

Przedewszystkiem Sieroszewski nie wychował się wśród Jakutów i Czukczów, lecz—w Warszawie. Na Wschód wyjechał jako młodzieniec dojrzały umysłowo, z wyrobionym poglądem na świat i życie. Ideałom swoim pozostał wierny, czego dowody składa w każdym swoim utworze. Wśród plemion Wschodu spędził około 10 lat życia, potem bawił na Kaukazie, w Krymie, w Petersburgu i w innych miejscowościach Cesarstwa, a od lat kilku osiadł znowu w Królestwie. Z jakiej więc racyi p. Sygietyński robi go „wychowanicem“ Jakutów i Czukczów i—wprowadza w błąd czytelników?

Prócz tego, pozwolę sobie zauważyć, że nie można wychowywać się współcześnie wśród Jakutów i Czukczów, jak niemożnaby było chować się współcześnie wśród Szwedów i Francuzów. Jakuty a Czukcze—to plemiona zupełnie różne pod względem pochodzenia, języka, obyczajów etc.

Kraina Czukczów leży na północo-wschodzie i dotyka cieśniny Berynga, Jakuci zaś mieszkają znacznie dalej na zachód. Czukcze płacą tylko daninę, Jakuci są dawno wcieleni do organizmu państwowego.

A nie należy zapominać, że Syberya jest większa od całej Europy, i że Sieroszewski opisywał również i inne plemiona, jak np.: Tunguzów, których również niemożna wymieniać jednym tchem z Czukczami i Jakutami. W „Risztau“ znowu wprowadził Czerkiesów kaukaskich, etc. Wśród *wszystkich* tych ludów przecież wychowywać się nie mógł! Jak widzimy więc, fakty przeczą twierdzeniu p. Sygietyńskiego i nie odbierają utworom autora „Chajłacha“ cech egzotyizmu.

\* \* \*

Przejdźmy teraz do Kiplinga. Kipling urodził się w Bombaju, to prawda. Gdzie się wychowywał: czy, jak większość dzieci angielskich, urodzonych w koloniach, w Londynie, czy w Bombaju?—nie wiem. W każdym razie odebrał wychowanie *nawskroś brytańskie*, jest w każdym calu Anglikiem i na plemiona obce patrzy ze stanowiska europejsko-brytańskiego, nie zaś ze stanowiska hinduskiego—to fakt.

Czyż stosunek pisarza do odtwarzanego modelu zależy tylko od *zewnątrznego* faktu urodzenia się w jakiejś miejscowości? czyż nie stokroć ważniejszą rolę odgrywa tu wewnętrzny ustrój artysty, jego osobiste poglądy, aspiracje, ukryte w krwi sympatyje i antypatyje, oraz tradycje, w których się wychował? Przecież Thackeray urodził się także w Indiach (w Kalkucie), a czyż nie jest pisarzem *nawskroś* i z gruntu angielskim?

\* \* \*

„Egzotyczny“ znaczy dosłownie „zewnątrzny“, obcy, cudzoziemski. W nauce termin ten stosuje się do zwierząt i roślin, sprowadzanych do danej miejscowości z krain, posiadających inny klimat i odmienne warunki przyrodzone. W literaturze pięknej termin ten ma znaczenie cokolwiek rozleglejsze; przedewszystkiem jednak utworem egzotycznym będzie dla nas, Europejczyków, każdy utwór artystyczny, którego treść opiera się na materiale faktycznym, zaczerpniętym z życia krajów i ludów, posiadających odmienną od naszej przyrodę i kulturę, o ile autorem tego utworu jest człowiek złączony z nami węzłem wspólnej cywilizacji, oraz pewnych tradycyi dziejowych, religijno-filozoficznych etc.

Gdzie ten człowiek się urodził, to kwestya obojętna, byle myślał i czuł, jak na pewnych punktach myślał i czują ludzie wychowani w tradycjach cywilizacji wspólnej wszystkim narodom europejskim, oraz wielu, nie wszystkim, ludom po-



chodzenia europejskiego, zamieszkującym inne miejscowości globu ziemskiego.

Słowem, można powiedzieć, że powieść egzotyczna jest, do pewnego stopnia, tem samem w przestrzeni, czem powieść historyczna—w czasie, t. j. obrazem rzeczy odległych, obcych, odtworzonym przez artystę, który ocenia te rzeczy ze stanowiska, jeżeli nie identycznego z naszym, to przynajmniej bardzo blizkiego i pokrewnego naszemu.

\* \* \*

Naturalnie definicyi powyższej, jak żadnej definicyi literackiej, nie można stosować sumarycznie. Możliwy jest wypadek zupełnego zżycia się z krajem obcym dla nas, ale blizkim sercu danego pisarza. Istnieje cała grupa Anglików zupełnie zindyanizowanych. Kipling jednak z tą grupą mistyków nie wspólnego nie ma. Możliwe jest zżycie się z przyrodą krain egzotycznych przy zachowaniu poczucia odrębności względem ludów, zamieszkujących te krainy. Wypadek analogiczny spotykamy u Kiplinga, ale nie należy z tego wyciągać zbyt pośpiesznych wniosków.

Przedewszystkiem kolonie angielskie w Indiach przednich i tylnych zajmują przestrzeń mało co mniejszą od Europy i są zaludnione przez olbrzymią liczbę plemion różnego pochodzenia, koloru, języka, wiary, obyczajów. Ludność ta (przeszło 290 milionów) zamieszkuje okolice, różniące się również pod względem klimatu etc. Ludność i przyroda okolic Bombaju nie jest identyczna z przyrodą Cejlonu, albo półwyspu Malaki. Wskutek tego człowiek, który się żył z jednym punktem Indyi, znajdzie w innych punktach naturę, która będzie dla niego równie egzotyczna, jak dla nas przyroda Hiszpanii albo Włoch południowych.

Otóż Kipling zwiedził i opisał prawie całe Indye, odtworzył życie najróżnorodniejszych ras, zamieszkujących terytorium anglo-indyjskie i nienawidzących się wzajemnie i, co najważniejsza, odtworzył to życie ze stanowiska europejskiego, a specjalnie angielskiego, nie ze stanowiska Hinda, Syngaleza, Gurka, Sika, Malajczyka, Tamila, Parsa, Afgana etc.

Niedość na tem, Kipling zwiedził wszystkie kolonie angielskie, rozsiane na całej kuli ziemskiej, zwiedził również Amerykę, Australię etc., czerpiąc wszędzie materiały do swoich bardzo licznych nowel i romansów, których akcja rozgrywa się na Syberyi, w Sudanie, w Ameryce, na oceanie Indyjskim, w cieśninie Berynga etc., słowem niemal we wszystkich zakątkach globu. Już to samo daje mu prawo do miana pisarza egzotycznego.

A wszędzie i zawsze, czy opisywał Eskimosów, czy Hindów, czy Londyn, czy miasta podzwrotnikowe, Kipling pozostał Anglikiem, i to Anglikiem nowoczesnym, Anglikiem-imperyalistą w stylu Cecila Rhodesa i Chamberlaina. Nie zawadzi przypomnieć, że do wybuchu wojny transwalskiej przyczynił się Kipling swoimi hymnami patriotycznymi, opiewającymi „Większą Brytanię.“ Jego „Recessional“, hymn w stylu biblijnym, napisany na jubileusz królowej, stał się Marsylianką imperyalistów angielskich. Biję z niego poczucie własnej siły i własnych praw, a zarazem pogarda ras obcych, zarówno cywilizowanych, jak niecywilizowanych. Słusznie też jeden z krytyków francuskich nazwał ten hymn modlitwą wspaniałą i godną nienawiści, „prière superbe et haïssable.“ Jest to apoteoza „jingoizmu“ brytańskiego i chamberlainowskiej „splendid isolation.“

Prócz tego napisał Kipling cały szereg nowel z życia Anglików w Koloniach i metropolii, oraz mnóstwo pieśni, sławiących dumę, energię i religijność brytańską, jak „Song of English“, albo sławny „Mac Andrews hymn.“

Wszystko to wystarcza chyba, żeby stwierdzić czysto angielski charakter pisarza, a zarazem

żeby postawić podwójny znak zapytania przy definicyi p. Sygietyńskiego, który, prostując to, czego nie powiedziałem, pisze, że Loti jest poetą, Sieroszewski krajoznawcą (czyż tylko krajoznawcą?), a Kipling zoologiem swojego rodzaju.“

\* \* \*

Zapewne, gdyby Kipling napisał tylko „Księgę Puszczy“, możnaby go nazwać „zoologiem“, ale Kipling, prócz zwierząt, malował ludzi cywilizowanych i niecywilizowanych, śpiewał monologi lokomotyw i statków, odbywających pierwszą podróż, opisywał zjawiska medyumicznospirytystyczne, oraz tworzył dzikie, ohydne fantazyje, łączące ponury nastrój Edgara Poe z cyniczną i wściekłą ironią Swifta, i t. p., i t. p.

Nie, Kiplinga nie można nazwać zoologiem, trudno nawet nazwać go Ezopem—jedno zresztą wyłącza drugie do pewnego stopnia, Ezop bowiem nie opisywał zwierząt realnych, tylko używał ich masek dla uzmysłowienia wad i właściwości ludzkich.

Kipling jest po prostu talentem bardzo oryginalnym i nawskroś angielskim, który dzięki okolicznościom życiowym, oraz własnej energii i ruchliwości, zebrał wielką sumę obserwacji z różnych kątów świata i zużytkował je w sposób niezbyt głęboki może, ale samoistny i zręczny.

DCN

JGNACY MATUSZEWSKI.



Rys. Fr. Żmurko.

KŁADŁ SIĘ ŻŁOTY PROMIEŃ SŁOŃCA...

\*

**K**ładł się złoty promień słońca  
Na złociste łany;

Pieścił, tulił i całował  
Bez końca, bez końca...  
One szmerem mu mówiły:  
Kochany, kochany!

Kładł się złoty promień słońca  
Na świerki, na sosny;  
Pieścił, tulił i całował  
Bez końca, bez końca...  
Bór mu śpiewał tęskne dumki—  
Szczęśliw i radosny.

Kładł się złoty promień słońca  
Na lilje, na róże;  
Pieścił, tulił i całował  
Bez końca, bez końca...  
One woń swą posyłały  
Ku słońcu, ku górze!

Kładł się złoty promień słońca  
Na głowę dziewczyny;  
Pieścił, tulił i całował  
Bez końca, bez końca...  
A do słońca pieśń leciała:  
Jedyny, jedyny!...

LILIANA.

## Z POGRANICZA MONGOLII.

I.



D wielu lat nosił się magnat węgierski, hr. Eugeniusz Zichy, członek węgierskiego parlamentu, z myślą odszukania pierwotnej ojczyzny Madziarów. Dwa razy już podróżował ten uczonej na Kaukaz i do Buchary, ale tam naturalnie nie znalazł śladów Węgrów. W końcu obiecał przed dwoma laty swym zdumionym rodakom w peszteńskim parlamencie odszukać nie tylko dokumenty, które podobno w 1240 r. Mongołowie Węgrom zrabowali, lecz i miejsce, gdzie stała niegdyś kolebka Madziarów! Uczonych, którzy mieli brać udział w tej interesującej ekspedycji, wysłał na kilka miesięcy przed wyruszeniem w podróż do Rosyi; ja zaś z Zichym, któremu towarzyszyłem jako żądny wrażeń turysta, opuściłem dnia 14 marca 1898 roku Lwów, i po licznych przygodach stanąłem 28-go sierpnia 1898 r. w Troickosawsku. Zichy najkrótszą drogą, t. j. Pekin—Port-Said, wrócił do Budapesztu, ja zaś 9 miesięcy zabawiłem na pograniczu Mongolii, celem bliższego zapoznania się z kuzynami Mongołami. Czy uczeni węgierscy znaleźli jakieś ślady Madziarów i owe sławne dokumenty, nie wiem, wątpię jednak, by tam, gdzie ich Zichy szukał, można je było znaleźć. Nie będąc uczonym, zadowolę się krótkim opisem cząstki wrażeń, jakie odniosłem z wędrówek po Mongolii, a które dzisiaj wobec zwróconej uwagi świata całego na te strony, tembardziej będą na czasie.

\* \* \*

Miasto Troickosawsk i o 4 wiorsty odległa Kiachta leżą w piaszczystej dolinie nad brzegiem anemicznego strumyka. Horyzont, z trzech stron zamknięty nagimi wzgórzami, otwiera się ku południowi, gdzie rzeki, jeziora i błękitne góry nęcą do wycieczek po Mongolii. Ile razy spoglądałem na ten cudowny krajobraz, owładła sercem mem dziwna jakaś tęsknota; zdawało mi się, że hen, daleko za temi górami leży moja kochana ojczyzna.

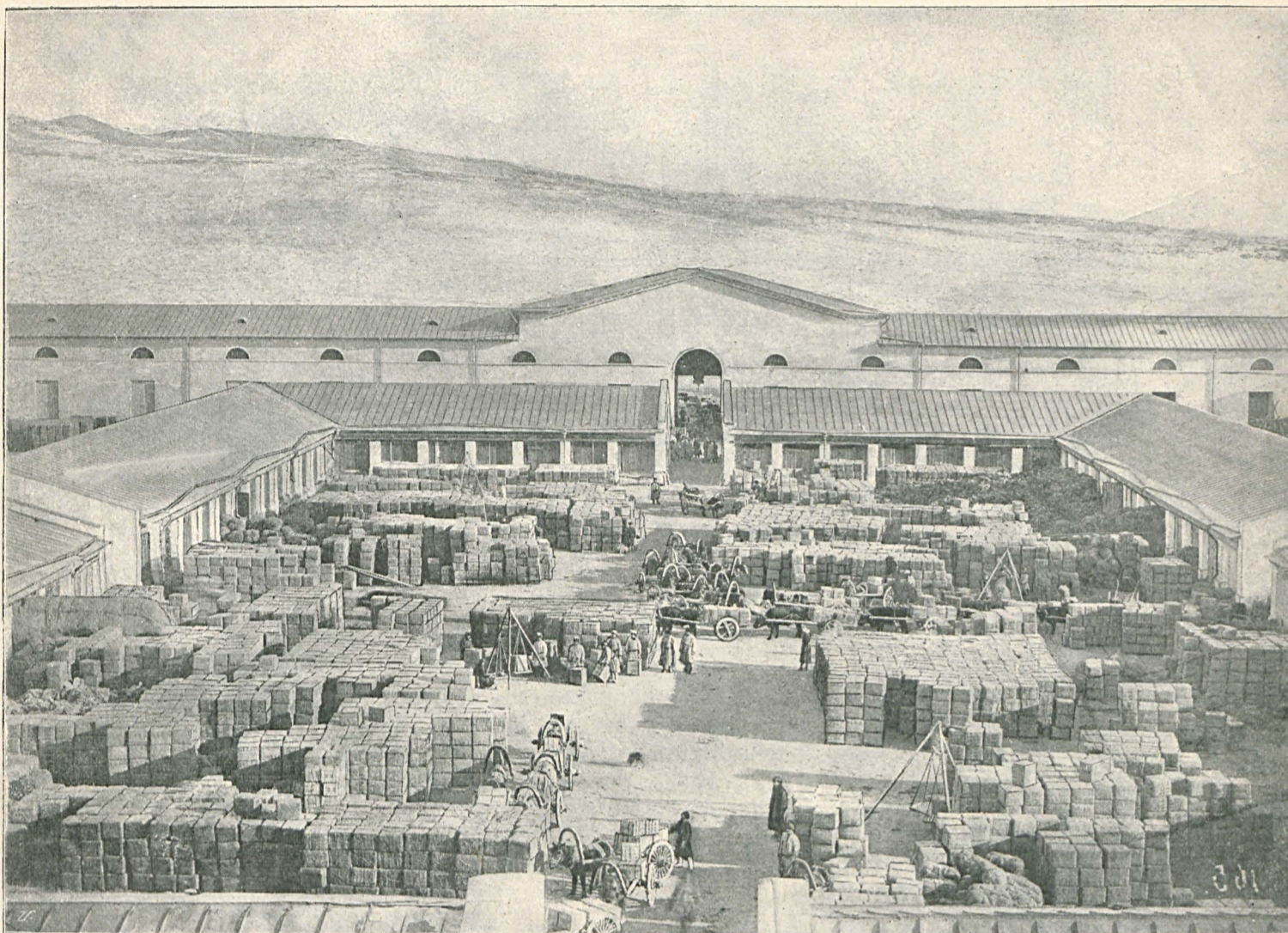
Kiachta leży na samej granicy Mongolii o 100 kroków od czysto chińskiego miasta Majmaczyna, którego 3,000 przeszło mieszkańców żyją głównie z handlu herbata. Chińczyk nie pogardza żadnym zarobkiem, kupuje więc w Majmaczynie kradzione w syberyjskich kopalniach złoto (którego, jak wiadomo, z państwa Rosyjskiego wywozić nie wolno), i dużo zarabia na tym interesie, gdyż złoto w Chinach jest o 25 do 30% droższe, niż w Syberyi. Prócz tego przemycają Chińczycy „hańczyne“, wódkę, która jest prawdziwą trucizną dla ludności rosyjskiej; upicie się nią czyni na dni kilka niezdolnym do pracy, wystarczy bowiem w dzień po upiciu się nią napić wody, by powtórnie stracić przytomność.

Na wielką skalę kwitnie tu również handel kradzionymi towarami, dzięki czemu nigdy się nie udaje policyi wykryć sprawców rabunków, które w Kiachcie i Troickosawsku są na porządku dziennym. Blizkie sąsiedztwo granicy chińskiej bardzo szkodliwie wpływa na ludność rosyjską, łatwy bowiem zbyt kradzionych towarów zachęca do grabieży, taniość zaś hańczyzny do pijanstwa.

Niemalą korzyść przynoszą Chińczykom Mongołowie, których w najnielitościwszy sposób wyzyskują, i tak np.: straty, poniesione w wojnie z Japonią, starali się odbić na Mongołach, którym zabierali całe stada bydła i koni. Wielkie to szczęście, że państwo Niebieskie, na obraz i podobieństwo chorego męża, zdecydowane jest na operację, która zakończy się kilku amputacjami, a może nawet śmiercią pacjenta; gdyż, może być, że polepszy się wówczas los tych biednych Mongołów.

Większą część pobytu w Zabajkalskim kraju spędziłem na stepach Mongolii, gdzie uzbrowiłem





SKŁADY HERBATY W KIACHCIE.

jony w strzelbę i aparat fotograficzny, zwiedzałem liczne osady i dacany (klasztory mongolskie).

W Mongolii, mającej 2,831,000 kilometrów kwadratowych obszaru, jest tylko 1,850,000 mieszkańców, czyli że na 1 km. kwad. przypada 0.6 mieszkańca, t. j. 1 na 1½ km. kw.

Właściwe Chiny zajmują obszar 3,970,000 km. kw., na kilometr przypada 90 mieszkańców, a nad Jancekiangiem liczba ta wzrasta do 300, (w Belgii 215 na 1 km. kw.). Mongołów czeka ten sam los, co czerwonoskórych w Ameryce; liczba ich z każdym rokiem się zmniejsza, dziesiątkują ich bowiem ospa, przymiot i inne choroby. Pod względem finansowym coraz więcej upadają. Głównym zarobkiem Mongołów jest transportowanie herbaty z Kałganu do Kiachty, ale ciężko zapracowany grosz zostaje zwykle w ręku Chińczyków, oni zaś sami, z pustą kieszenią i wychudłymi wielbłędami lub wołami, wracają do jurty.

Dziwny to naród ci Mongołowie. Któżby domyślił się, że przodkowie tych na pozór zidyociałych koczowników byli niegdyś postrachem całej Europy? Ale przyjdzie kiedyś, może nawet w niedalekiej przyszłości, chwila, gdy w oczach tych cichych pasterzy zabłyśnie ogień dawnego zapału, i hordy ich zaleją Chiny, niszcząc wsi i miasta. Mongoł, dopóki chodzi tylko o jego mienie, jest cierpliwy, z cierpliwością daje się też Chińczykom wyzyskiwać, ale biada temu, kto by odważył się naruszyć ich religię!

⅓ mniej więcej Mongołów poświęca się stanowi duchownemu; mała część jednak ich lamów \*) pozostaje w jurtach i pasie nadal bydło; większość udaje się do dacanów.

Studia kończą zwykle lamowie w stolicy Mongolii, Urdre, tu bowiem znajduje się ich akade-

mia duchowna. Kształcą się tam w różnych naukach, szczególnie w medycynie i weterynarii. Jeżeli który Mongoł zachoruje, i leki domowe nie pomagają, sprowadza zdaleka uczonego mnicha, a jeśli uda mu się uzdrowić pacjenta, to wielka część bydlę przechodzi na własność lamy, jako honorarium. Jeśli pacjentem jest jakiś książę mongol-



Bochdo-Gegen.

Fot. dla Tygodnika ilustrowanego J. Banhidy.

ski, to zwykle kładą mu chytry lamowie za warunek wyleczenia sprowadzenie świętych ksiąg Buddy, znajdujących się w Lassie, które potem kapłani czytają.

Sprowadzenie takiego dzieła jest nadzwyczaj kosztowne, gdyż np. „Dandzur“ ma 206 tomów, „Gandzur“ zaś 106. Do przewiezienia księgi „Dandzur“ potrzeba 10 ciu wielbłędów, za czytanie każą sobie lamowie dobrze płacić, kosztuje więc takie lekarstwo od 10 do 20 tysięcy rubli.

Księgi święte są skarbnicą wiedzy buddyjskiej, traktują o astronomii, historii, medycynie etc., czytanie ich zaś ma tę wielką zaletę, że zapoznaje lamów mongolskich z tajnikami wiedzy tybetańskiej.

Właściwym władcą Mongolii nie jest „Bochdo-chan“ (cesarz chiński), lecz boski młodzieniec „Bochdo-Gegen“ w Urdre (Bochdo-Kuren). Dziś żyjący Gegen jest, jak i jego 7-iu poprzedników, uważany za boga, zastępcę Buddy, na ziemi posiada zaś tak wielką władzę, że na jego skinienie wszyscy Mongołowie powstaliby jak jeden mąż.

\* \* \*

W wieku XIV przeniesiono siedzibę głowy kościoła Buddy z Chin do Lassie w Tybecie, i wtenczas już było dogmatem wiary, że ciało każdorazowego Dalaj-lamy zamieszkuje duch Buddy. Począwszy od XV wieku, grają Dalaj-lamowie mniej więcej tę samą rolę, jak papież w wiekach średnich. Chińczycy, chcąc sobie zapewnić posiadanie Tybetu, zaczęli od 1792 r. wywierać wielki wpływ na wybór Dalaj-lamy, a jest to nowonarodzone dziecko, w które weszła dusza zmarłego Dalaj-lamy, by to jednak mogło nastąpić, musiało ono urodzić się w chwili śmierci poprzednika.

JÓZEF BANHIDY.

\*) Lama—kapłan mongolski.



## Uniwersytet Jagielloński w nowszych czasach.

**B**ądź co bądź, dzięki tej bierności nie uległ ani system Kołłątajowski, ani skład grona nauczycielskiego po rok 1803 żadnym zasadniczym odmianom. Nauka odbywała się dalej po części w języku łacińskim, po części w polskim. Pracował dla Uniwersytetu przez ośm lat jeszcze Jan Sniadecki, i jego usiłowaniami, wspieranym pomocą kilku dzielniejszych profesorów, takich, jak Feliks Radwański, profesor mechaniki, Rafał Czerwiakowski, anatom i fizyolog, udało się podtrzymać istnienie wszystkich tych katedr i zakładów naukowych, jakie zatwierdziła lub utworzyła Komisya edukacyjna.

Lecz już w r. 1803/4 rząd austriacki wprowadził tymczasową reformę, zmieniającą znacznie ustrój wewnętrzny Akademii z czasów Kołłątajowskich, a w sierpniu r. 1805 reformę zasadniczą, przekształcającą Szkołę krakowską na zakład naukowy, urządzony wedle modły innych uniwersytetów austriackich. Ostatnia ta zmiana była w związku z zamknięciem Uniwersytetu lwowskiego, który połączono z krakowskim w ten sposób, iż część zbiorów i część grona nauczycielskiego była wprost przeniesiona do Krakowa. Wskutek tego rozporządzenia niektóre katedry przestały istnieć; językiem wykładowym miał być odtąd łaciński lub niemiecki do wyboru; wprowadzono też do Uniwersytetu plan wykładów, obowiązujący w niemieckich uniwersytetach monarchii. Większość profesorów Polaków ustąpić musiała z katedr, a miejsca ich zajęli Niemcy (przeważnie byli profesorowie lwowscy). Było wśród nich kilku ludzi dobrej woli i głębszej wiedzy. W pierwszym rzędzie godzi się wymienić Jana Józefa Littrowa, profesora matematyki wyższej i astronomii, który co prawda, dopiero w r. 1807 objął obowiązki nauczycielskie w Krakowie, Baltazara Hacqueta, profesora mineralogii, i Zemantseka, profesora fizyki. Staraniem tych uczonych należy przypisać, że mimo zmian, poziom naukowy w Szkole krakowskiej się nie obniżył; co do wydziału lekarskiego, przynajmniej prof. Skobel nawet, że tenże w pierwszym okresie rządów austriackich „z wielu względów, w porównaniu ze stanem poprzednim, odniósł jawne korzyści,“ podnosząc fakt, iż liczba profesorów została powiększoną we dwójnasób, a niektóre zakłady, mianowicie szkoła położnicza, były urządzone i prowadzone wprost wzorowo. Wogóle jednak zakłady te pozostawały jeszcze wówczas co do zasobności zbiorów, pomieszczenia, urządzenia i t. d. bardzo daleko w tyle za tego rodzaju zakładami uniwersyteckimi za granicą.

Nie mógł być Uniwersytet krakowski w tej fazie swego bytu prawdziwie *główną* szkołą dla młodzieży polskiej; punkt ciężkości ruchu naukowego przenosił się wtedy w inne strony, ku Litwie, ku Akademii wileńskiej, która właśnie wstępowała w okres najwspanialszego rozkwitu.

Ustrój, który przybrała wszechnica krakowska w r. 1805, miał wkrótce ustąpić miejsca nowej odmianie: bo już w r. 1809 przyszło do przyłączenia Krakowa z Zachodnią Galicyą do Księstwa Warszawskiego, a tem samem dostał się Uniwersytet pod opiekę warszawskiej Izby edukacyjnej.

Izba ta przyznała Szkole Jagiellońskiej dawne przywileje z czasów Komisji edukacyjnej, objęła gmachy i majątek w swój zarząd, przywróciła język wykładowy polski, wprowadziła nową organizację władz, jako też nowy plan naukowy, i wreszcie poddała pod zwierzchnictwo Uniwersytetu wszystkie szkoły średnie i niższe w Księstwie. Ale najlepsze chęci rządu i najusilniejsze starania władz naczelnych i grona nauczycielskiego nie mogły stworzyć i teraz jeszcze dla najwyższej Szkoły krakowskiej warunków pomysłnego bytu—bo samo Księstwo takich warunków nie posiadało. Wyjątkowo trudna sytuacja materyalna, pogarszająca się z roku na rok musiała się odbić szkodliwie i na rozwoju Uniwersytetu. Warunki były tak twarde i uciążliwe, iż należy uważać za prawdziwą zasługę, za dowód wielkiej odporności i wytrwałości wobec nieprzyjaznych losów — już sam fakt istnienia i dosyć prawidłowego funkcyonowania Szkoły w czasach, kiedy kraj stał nad przepaścią bankructwa finansowego i uginał się pod naciskiem wielkich zawiktań politycznych. Uniwersytet nie podniósł się na wyższy poziom, ale nie upadł, nie dał się złamać, i to już było postępem.

Objęło go więc z kolei w spadku utworzone na kongresie wiedeńskim Wolne Miasto z okręgiem, czyli tak zwana potocznie Rzeczpospolita krakowska.

Musiał odtąd skarb Wolnego Miasta łożyć sam na utrzymanie Uniwersytetu z dochodów państwa, które nie miało więcej niż 23½ mili kwadratowych powierzchni. Znowu więc wypadło pracować nad podtrzymaniem i podniesieniem Uniwersytetu wśród nader kłopotliwych warunków.

Te zaś, dawały powód do częstych reform w ustroju Uniwersytetu i w jego oficjalnym stosunku do władz zwierzchnich. Pierwotna organizacja, którą uniwersytet otrzymał w r. 1818, uległa dwukrotnej odmianie: raz w r. 1826, drugi raz w r. 1833, a każda z tych reform nakładała bardziej ściśle, krępujące więzy jednemu od r. 1831 wyższemu zakładowi naukowemu polskiemu na ziemiach polskich.

A jednak Uniwersytet i w tych czasach nie zginął, lecz owszem zwolna, stopniowo dalej się rozwijał. W braku innych pomyslnych warunków, miał przynajmniej ten przywilej najbardziej szacowny, iż z katedr jego można było nauczać w języku ojczystym.

Znaleźli się też w gronie nauczycielskim ludzie, którzy poczuwali się do obo-

wiązku poświęcania wszystkich sił własnych, a często osobistych środków materyalnych dla dobra Uniwersytetu. Nie pozwolono upaść żadnemu z zakładów przy Akademii: nawet tworzono kiedy niekiedy nowe. Biblioteka Jagiellońska została starannie uporządkowana dzięki usiłowaniam dwóch wzorowych bibliotekarzy, Jerzego Samuela Bandtkiego (1811—1835) i Józefa Muczakowskiego (1835—1858), którego niestrudzone, pełne gorliwości i zapału zabiegi około podniesienia dobrej sławy Szkoły Jagiellońskiej wogóle zasługują na szczególne uczczenie. Maksymilian Weisse i Jan Kanty Steczkowski, czynni w Uniwersytecie od r. 1825, całą duszą oddali się pracy nad rozwinięciem Obserwatorium astronomicznego i wywalczyli dla jego prac uznanie po za granicami ziem polskich. Gabinet fizyczny pod zarządem prof. Markiewicza od r. 1813 do 1838 pomnożył we dwójnasób swoje zbiory. Dopiero od r. 1823 wszedł zakład anatomiczno-patologiczny na tory prawdziwie umiejętnego rozwoju. W r. 1837 powstał nowy gabinet farmakognostyczny. Wreszcie prawdziwie epokową na wydziale medycznym była działalność Józefa Brodowicza, który w okresie czasu od r. 1823—1850, jako profesor patologii i terapii, wielokrotnie wybierany dziekanem wydziału i rektorem, a nawet czas jakiś sprawujący obowiązki komisarza rządowego wszystkich zakładów naukowych Rzeczypospolitej Krakowskiej, niepożyte położył zasługi około podwyższenia poziomu nauki w Uniwersytecie, ulepszenia jego zakładów, a zwłaszcza około urządzenia kliniki lekarskiej. Na czasy Rzeczypospolitej krakowskiej przypadają też początki działalności nauczycielskiej Józefa Majera (profesora już od r. 1833).

Mniej korzystnie rozwijały się wydziały prawniczy i teologiczny, z których żaden nie może się wykazać w tym okresie czasu lepszymi siłami naukowymi (Antoni Zygmunt Helcel był nadzwyczajnym profesorem prawa tylko przez rok jeden 1832/3, miał zaś wrócić na uniwersytet dopiero po upadku Rzeczypospolitej).

Wydział filozoficzny uzyskał jedną korzystną inowację, a to w r. 1818, kiedy utworzone zostały katedry profesorów rysunku, malarstwa i rzeźby, a tem samem dany był początek Szkole sztuk pięknych krakowskiej, którą też w istocie zorganizowano w r. 1833, zachowując jej związek z Uniwersytem (utrzymany do r. 1873). Dobrą sławę tego wydziału ratował głównie Michał Wiszniewski, profesor w czasie od r. 1830—1846. Wykładał on w ciągu tego szesnastolecia kolejno historię powszechną, historię literatury powszechnej i wreszcie polskiej, i ogłosił nadto pierwszych siedm tomów swego wielkiego historyczno-literackiego dzieła.





Henryk Sienkiewicz.

## Krzyżacy.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Dokończenie.



znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kielbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie, i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pośpieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie wielkiego mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, poczem minawszy się, zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

— Niemce! sam mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopnęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kielbasa, i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi Chełmińskiej, między którym wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zacięłości Polaków nie już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapалу, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszemu kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej, i ustępowali, zwolna, ale ciągle, jakby pragnąc wy dostać się nieznacznie z morderczego skre tu. A wtem od strony lasu zagrzmiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelezie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię, i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny, gdyż Niemcy, poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

\* \* \*

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbity się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wichur, na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał pobladłymi ustami komtur Elbląga. — Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrział na niego ponuro i, wzniosłszy rękę ku niebu, zawołał:

— Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którym tyłu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknawszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa, i stał się taki zamęt, taki wir i kołowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie pchnięty rohatyną w szyję, zwałił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

\* \* \*

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zamieniła się w rzeź i w kłeskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Atylą i Karła Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części, jak zżęty łan zboża. Podały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni rycerze poseskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę, i poklekali na obluźganej krwią ziemi. Cała chorągiew świętego Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

\* \* \*

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wołało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się te-

raz Niemcy, wedle swego wojennego zwyczaj w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka, i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmiały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posepni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy, popodnosiwszy przyłbice, że gnali się z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się na oślep w ukrop bojowy, jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli jak przez sen, inni nakoniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordyę, lub, porzuciwszy naszyjniki, zwracali się do towarzyszków z prośbą: „Pchnij!“

Zacięłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup, i wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedynczym rycerzom. Ale wogóle i te rozbite gromady biły się ze wściekłością i rozpaczą.

Mało kto kłekał, prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozpłoszył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedynczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień to był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden, otoczonym przez piechotę kmieca, utworzył się wał polskich trupów, on zaś, potężny i niezwalczony, stał nad nim, jak stoi słup graniczny, wkopany na wzgórzu, i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł jakby piorunem rążony.

\* \* \*

Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

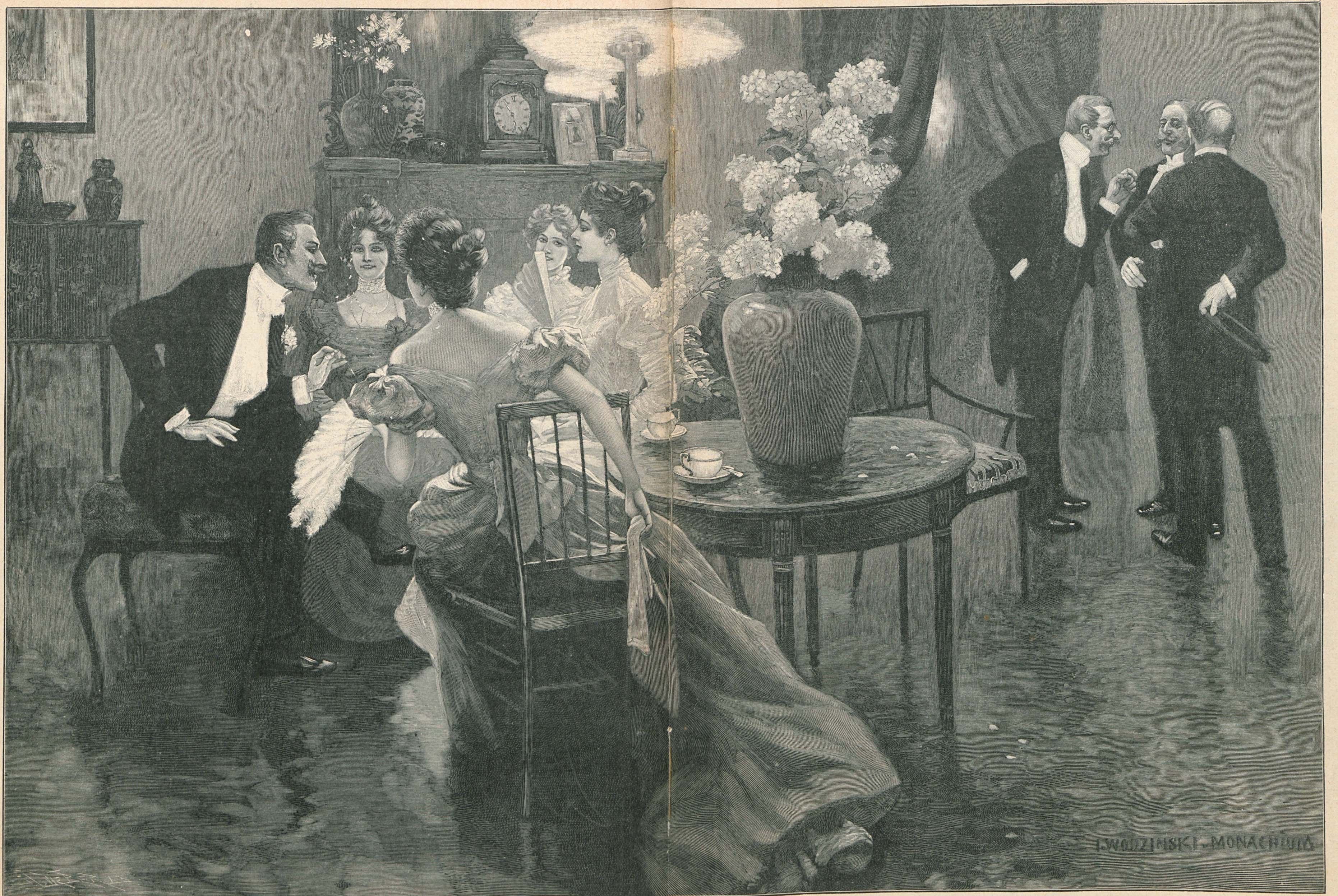
— Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się, alibo spotkaj ze mną!

A Arnold zwrócił się i, poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i po Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

— Śmierć idzie, i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalał.

To rzekłszy, skoczył ku niemu, i starli się jak dwie burze na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli







rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod ciężem jego miecza pękła kuta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek stalowy hełm, i mążny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową.

\* \* \*

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot: „Erbarne dich meiner!“ (oszczędź mnie) — i złożył z przestrachu ręce, co usłyszawszy, młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekrócić miecz i płazem tylko w spały, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swemu giermkowi, który założywszy mu powróż na szyję, powlókł go jak wolu tam, dokąd spędzono wszystkich jeńców krzyżackich.

\* \* \*

A stary Maćko szukał wciąż na krwawem poboju Kunona Lichtensteina — i szczęśny we wszystkim dnia tego los dla Polaków wydał go wreszcie w jego ręce w zaroślach, w których przytała się garść uchodzących ze straszego pogromu rycerzy. Blask słońca, który odbił się w zbrojach, zdradził ich obecność przed pościgiem. Padli wraz wszyscy na kolana i poddali się natychmiast, lecz Maćko, dowiedziawszy się, iż wielki komtur Zakonu znajduje się między jeńcami, kazał go stawić przed sobą, i odjąwszy hełm z głowy, zapytał:

— Kunonie Lichtensteinie, zali poznasz mnie?

A on zmarszczył brwi i, utkwivszy oczy w oblicze Maćka, rzekł po chwili:

— Widziałem cię na dworze w Płocku.

— Nie — odpowiedział Maćko — widziałeś mnie przedtem! Widziałeś mnie w Krakowie, gdym cię błagał o życie mego bratanka, który za nierozważny napad na ciebie na utratę gardła był skazan. Wówczas to słubowałem Bogu i zaprzysiągłem na rycerską cześć, iż cię odnajdę i spotkam się z tobą śmiertelnie.

— Wiem — odparł Lichtenstein i wydał dumnie usta, chociaż zarazem pobladł mocno; — ale jeńcem twoim teraz jestem, i zhańbilbyś się, gdybyś miecz na mnie podniósł.

Na to twarz Maćka ściągnęła się złowrogo i stała się zupełnie do paszczy wilczej podobna.

— Kunonie Lichtensteinie, — rzekł — miecza na bezbronnego nie wzniosę, ale to ci powiadam, że jeśli mi walki odmówisz, tedy cię każe jak psa na powrozie powiesić.

— Nie mam wyboru, stawaj! — zawołał wielki komtur.

— Na śmierć, nie na niewolę — zastrzegł raz jeszcze Maćko.

— Na śmierć.

I po chwili starli się z sobą wobec niemieckich i polskich rycerzy. Młodszy i zręcz-

niejszy był Kunon, lecz Maćko tak dalece siłą rąk i nóg przeciwnika przewyższał, że w mgnieniu oka obalił go na ziemię i kolaniem brzuch mu przycisnął.

Oczy komtura wyszły z przerażenia na wierzch:

— Daruj! — jęknął, wyrzucając ślinę i pianę ustami.

— Nie! — odpowiedział nieubłagany Maćko.

I przyłożywszy mizerykordję do szyi przeciwnika, pechnął dwukrotnie, a tamten zacharzał okropnie: fala krwi buchnęła mu ustami, drgawki śmiertelne wstrząsnęły jego ciałem, poczem wyprężył się, i wielką uspokoić rycerzy uspokoiła go na zawsze.

\* \* \*

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak straszego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nietylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną „przednią straż“ teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciałło słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszców“ przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekiustym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocalała się ani jedna, i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagielly, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!“ Stawiano też przed majestatem pana przedniejszych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przywiódł Szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpelko Kopidlowski herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią świętego Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywoził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy, klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła tu ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem, przygotowanem na wielką ucztę po zwycięstwie.

\* \* \*

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na poboju, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłóte sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało Wielkiego Mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie, i spoglądając

na ogromne zwłoki, leżące nawznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata...

Zaczem lzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach, i po chwili ozwał się znowu:

— Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto słać będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczymy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordją rozciętym, i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga, i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheyma, i grafa Wendego, który legł z ręki Powaly z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomych komturów i braci. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli nakształt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Zdała pod zorzą widać było oddziały litewskie, ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i, dysząc utrudzonemi piersiami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeńni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór.

Więc niezmiernie szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładący koniec nędzy i trudom nietylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzył jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie świętej Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!...

Poczem podniósł dłoń i poczęł żegnać nietylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawem od blasku zorzy i oczyszczonem przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe poboju, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żalosne pole śmierci, z dziesiątkami tysięcy ciał, dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, ra rumianem niebie, wicherzyły się już i zataczały koła stada wron,



## Artur Gruszecki: Na drugą półkulę.

Sprawozdanie specjalne delegata Tygodnika ilustrowanego.

15.)

### W POWROTNEJ DRODZE.

**R**olej z Rio Negro do Kurytyby stoi czas dłuższy na stacji Serinha. Na peronie tłum ludzi, bo to czas świąteczny przed Bożem Narodzeniem. Włosi wrzaskliwi, rozmachani; Brazylijczycy z miną panów; Cabuclos w patynkach, boso, śmiali, ogorzali, uzbrojeni nożem i rewolwerem, z nahajką skórzaną w rękę, krzyczą głośno, owinięci w palie, szal, krojem i sposobem wkładania przypominający ornat; kilku kolonistów. W tłumie spostrzegam młodego, przyjemnego blondyna.

— Pan Polak?—pytam.

— Poznał mnie pan? poznał, żem Polak? — woła ucieszony—i po czym?

— Różni się pan od nich — wskazałem na tłum.

— I ja tak myślę—odpowiada z dumą.

— Skądże pan jedzie?

— Jadę do domu, do Abranches (kolonia pod Kurytybą), z Rio Negro; tam służę przy kolei; jak oni nazywają, jestem *capataz*, a u nas werkmajster.

— Ależ licha kolej!

— Cóż dziwnego?—odpowiada z uśmiechem lekceważenia:—w Brazylii wszystko bez porządku, nie tak, jak u nas.

— A pan dawno przybył?

— Ja tu urodzony; starszyostał na gruncie, a nas czterech we fachu.

— To pan tutejszy.

— Nie panie, ja Polak, tylko tu urodzony.

W Kurytybie czekała mnie niespodzianka, nadzwyczaj miła i przyjemna, gdyż za ledwie rozgościłem się w tak zwanym „Grande Hotel,” pierwszorzędnym, ale też brudnym i pełnym barratas, małych jaszczureczek, tyśiąconogów i moskitów,—gdy zjawili się w progu dwaj nietylko Europejczycy, nietylko Polacy, lecz i Warszawiacy: pp. Bielecki Leon i Dmowski Roman.

Kto nigdy nie był na dalekiej obczyźnie, wśród obcych duchem, cywilizacją, temperamentem ludzi; kto nie widział wokoło siebie natury odmiennej, niezrozumiałej i przynębiającej swem bogactwem barw i form; ten nie pojmuje jaka ciężka, nieprzejednana, blizka obłędu tęsknota, jaki głęboki smutek bez słów i skargi, jakie wrażenie pustki i osamotnienia, niemocy i zapomnienia przez wszystko i wszystkich opanowuje człowieka.

I w takiej właśnie chwili przypadek stał się wybawieniem i pociechą: obaj przynosili z sobą Warszawę, pola, śniegi, słońce i mowę, mowę polską.

Naturalnie projektujemy wspólne zwiedzenie pobliskich kolonii polskich, a na uczczenie dnia wspólny obiad, który ma przygotować Barczak, gospodarz Tow. „Zgoda i Jedność,” mały, czarniawy, były kolonista.

— My Polacy jadamy zawsze barszcz, więc, panie Barczak, barszcz być musi—rozporządza p. Bielecki.

— A następnie?

— My, Anglicy,—odzywa się pan Dmowski tonem gentlemana, nie znoszącego opozycji—jadamy mięso, więc, panie Barczak, mięso być musi.

— A do mięsa?

— My, Francuzi, jadamy sałatę, więc, panie Barczak, sałata być musi—uzupełniam o biad.



Leon Bielecki.

Barczak namyśla się i mówi z pewnem wahaniem:

— A jeśli czego zabraknie, bo ja dałbym, ale nie wiem, czy dostanę...

— Niema u nas zwyczaju więcej dawać,

niż się ma—decyduje p. Bielecki.

— Tak, to co innego—uśmiecha się gospodarz i znika.

W pokoju, ustrojonym kwiatami róż, werben, begonii, oleandrów i storczyków, przy palących promieniach słońca, gdyż w cieniu jest 32° R., jemy wigilię, a mówimy i marzymy o naszych blizkich, tam na północy, wśród śniegu, mrozu, pod zimnem, mglistem, chmurnem słońcem.

Wyjeżdżamy na kolonie konno, gdyż drogi są w stanie oplakany. P. Dmowski, jako sokół lwowski, na siwym, ładnym koniu, który jednak najdalej na dwudziestym kilometrze rozpiera się i bezwzględnie żąda odpoczynku; p. Bielecki, ze względu na urząd kwaterymistrza, jechał na doskonale mule, którego pojętność, ostrożność i wytrzymałość podziwiamy przez całą drogę.

— Czy wszystko dobrze?—pyta pan Dmowski tonem wątpliwości i współczucia.

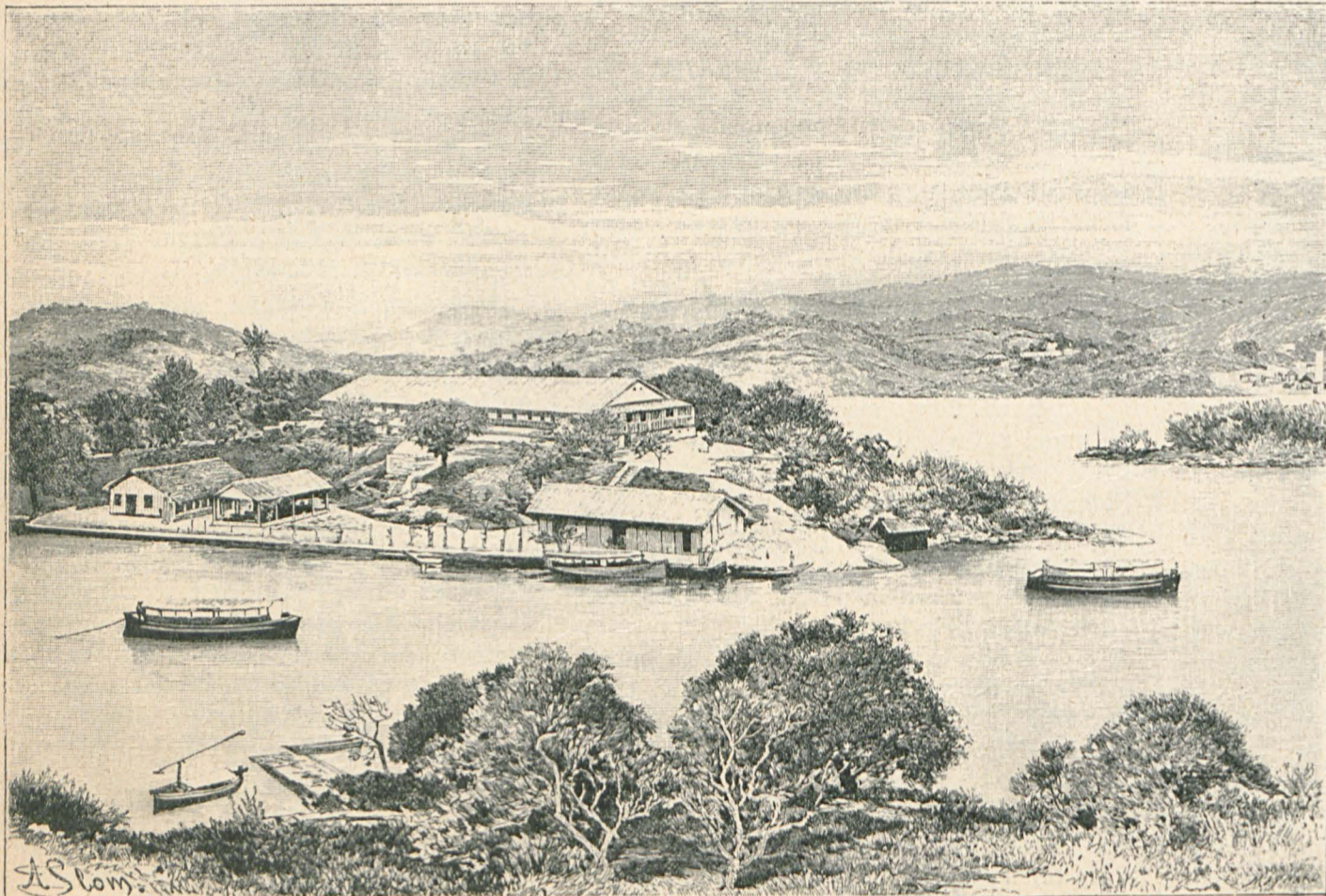
— Bardzo dobrze—odpowiadamy niepewnym głosem.

Jedziemy.

Spotykamy ładnego blond chłopca, bawiącego się z Murzynkiem.

— Hej mały! Daleko do...?

— E, nie, przez kiempę (step), las, pole i zaraz kościół.



Baraki dla wychodźców na wyspie Kwiatowej w zatoce Rio (obecnie zniesione).





Typ Cabocla.

Murzynek w uśmiechu pokazuje białe zęby.

— Nauczę tę czarną małpę po polsku!

— Już umieć! — wykrzykuje wesoło Murzynek.

Na stepie falistym, porośniętym ostrą, kupkowaną trawą, drzewiastymi roślinami, pasie się stado krów pod dozorem dwojga dzieci. Dziewczynka nakrywa się od mżącego deszczu jaskrawą chustą matki, a chłopczyna w kapeluszu słomianym, bosy, przepasany krajką, wygwizduje oberka. Polskie dzieci... i gdyby nie sosny brazylijskie, podszyte barwnie kwitnącymi drzewami, gdyby nie krowy wielkie z dziwaczными rogami, korowód mułów objuczonych, przemykające się sylwetki cabocłów, miałoby się złudzenie, że się jest gdzieś w Królestwie... wśród swoich.

Na drodze leśnej co chwila mijają nas wasagi. Dobre konie w lic, w krakowskich lub mazurskich chomatach, a jadą ostro, śmiało, mimo wybojów, korzeni, błota, wesoło, ze śmiechem, śpiewkami, z fantazją, że mimowoli dźwięczy w uszach:

„A z góry, z góry,  
Jadą Mazury...”

— Jechaliście ojciec do kościoła, jak szlachcie.

Spojrzał butnie i rzekł drwiąco:

— Nasz szlachcie jechał-ci co prawda do kościoła w cztery konie, ale miały dwa oczy, a my w osiem oczu—dodaje dumnie.

Przed kościołem rojno, tłumno; mężczyźni z miejską ubraną, kobiety przeważnie w barwnych, jaskrawych spódnicach krojem polskim; twarze wesołe, zadowolone, śmiałe; młodzież rosła, doskonale

odżywiona, zdrowa; gwar, swoboda, wesołość: zupełnie jak na odpuszcie naszym. A gdy w kościele śpiewają: „Gwiazdo morza...” przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, ustrojonym w kwiaty, zdobnym w wota, to można zapomnieć o morzu, Brazylii, Paranie, i czuć się u siebie, wśród swoich.

Pomiędzy wotami są okręty: „za szczęśliwą podróż,” nóżki, rączki, niemowlęta, ofiarowane Cudownej Maryi Pannie, i są serca ze wzmianką o swoich, o kraju...

— Panowie z kraju?... bo ja jestem *empregado publico* nad tutejszą szkołą.

— Ile dzieci uczęszcza?—pyta p. Bielecki z przygotowanym jak zawsze notesem i ołówkiem.

— Zwykle trzydzieści, ale bywa i pięćdziesiąt; za dziecko dwa milreisy miesięcznie.

— Czego pan uczy?

— Udzielam sześć razy na tydzień języka brazylijskiego po dwie godziny. Rozumiecie panowie, jako *empregado publico*, uważam tę naukę za najważniejszą.

— A polskiego?

— Codziennie godzinę, to wystarcza.

— Dzieci zdolne?

— Po polsku, to aby im raz pokazać, już i dobrze, ale państwowy, brazylijski—ciężko, choć im kładę w głowy jak łopatą, a jako *empregado publico*, chcę i muszę uczyć tego języka, bo on im w życiu konieczny.

— Pan dawno tu nauczycielem?

Spojrzał z politowaniem, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Nauczycielem był tylko Chrystus Pan; ja jestem profesorem.

— Pan dawno profesorem? — pyta niezmiyszany p. Dmowski.

— Już pięć lat oświecam ten naród.

U wendysty na razie pusto, on sam stoi poważny, zamyślony, za ladą.

— Jakże panu idzie interes?—pyta pan Bielecki z notesem w ręku.

— Hm... kaszas, piwo, drobne rzeczy idą

jako tako, ale łokciowe jak z kamienia.

— I dlaczegóż to?

— Moda, panie... wszystko u bab robi moda—westchnął ciężko, rozkładając ręce na znak bezsilności.

— Należałoby się zastosować...

— I ja to wiem... Ot, przed rokiem cioteczna żony przywiozła z kraju dwie paki towaru... Panie! w ciągu dwóch dni utargowałem 1,200 milreisów—opowiada z błyszczącymi oczyma: — te spódnice, fartuszki, jubki,

chustki, to wszystko z mojej wendy... a teraz ani z rządu do mnie

— Będzie lepiej — mówi pan Dmowski z miną Anglika, którego słowo oznacza czyn: — towar się sprowadzi, i za rok, za półtora, dostanie go pan w Kurytybie.



Drzwi kościelne w Orléans, roboty polskiego kolonisty.

— Daj Boże, daj Boże...

Do wendy wszedł kolonista, kupując drobnotki dla dzieci—dziewczyna lat 12, chłopak może 14.

— Ojciec, a dzieci chodziły do szkoły?

— To się wie, a bez cóżby nie?

— I umieją co?

— Po polsku to czytać i pisać potrafią, a jakże...

— A po brazylijsku?

— Hm... to widzi pan tak: chłopak chodził cztery lata do tej szkoły, a jak przyjdzie coniebądź pogadać z Brazylochcem, to ani węz!—niby mój gada, cóż kiej tamten nie rozumie.

— To dziwne, bo przecież był w szkole.

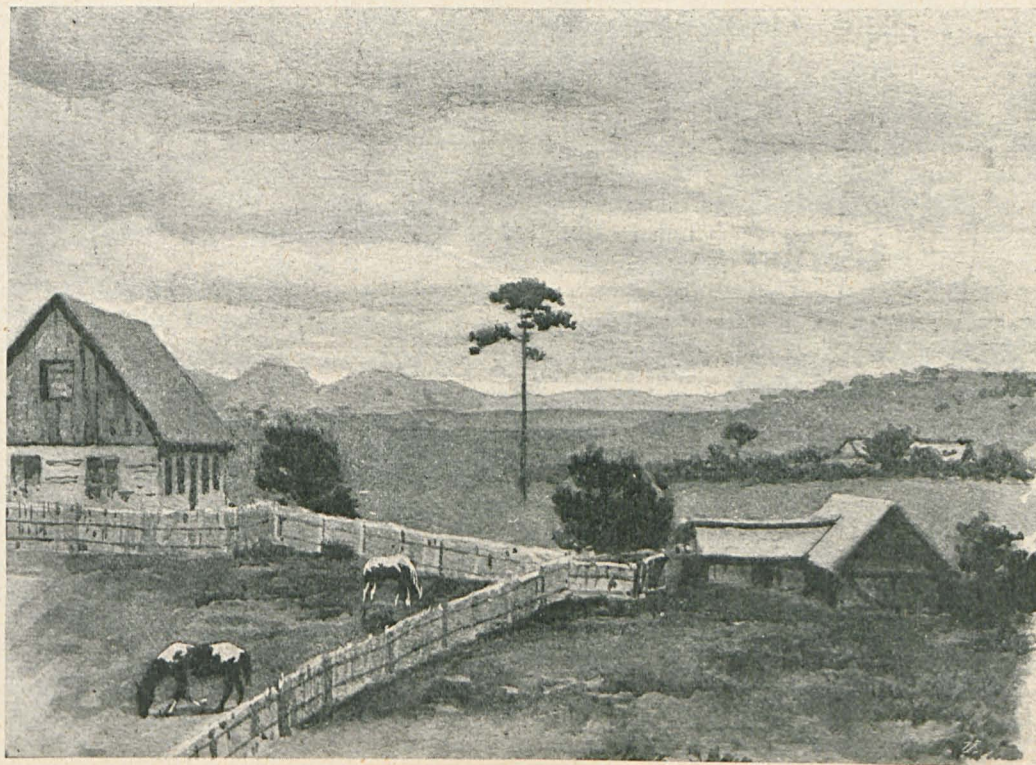
— Nasz profesor niby uczy i pilnie, cóż kiedy bez nijakiego pożytku dla dzieci.

Ksiądz proboszcz, ucieszony naszym przybyciem, chwali się kościołem, ładnymi drzwiami, zrobionymi przez kolonistę, z motywem tutejszej przyrody, i prosi na obiad.

Plebania ładna, wygodna, z ogródkiem pełnym bratków, malw, georginii, gwoździków, modraków...

— Ależ tu ładnie!

— Ha wokbyście zobaczyli mój ogróde-



Kolonja polska w Paranie.





Dom na wywrót

Z wystawy paryskiej

czek, aż się serce radowało... a tu, ot i spojrzeć nie ma na co.

Po obiedzie ksiądz wziął skrzypce do ręki, i wtórując, śpiewa o „Janosiku“, o „wirchach“ i „halach“, a z twarzy i ruchów widać, że go zjada tęsknota do swoich.

Przy czarnej kawie weszła i siostra księdza.

— Co proszę?... Panowie od nas? to może i Lwów znacie?—zaśpiewała przeciągle—Bo dla mnie Lwów, taj daruję wszystko.

Tę tęsknotę do swoich, do kraju, mniej lub więcej uzewnętrznioną, spotyka się wszędzie u kolonistów.



### Nasze ryciny.



*Franciszek Stuck: Lucyfer.* „Książę ciemności“ był od niepamiętnych czasów postacią, która pociągała poetów i artystów. O Dyable w poezji istnieje nawet w naszym języku obszerna monografia, o dyable w sztukach plastycznych niema dotychczas dzieła specjalnego, gdyż broszura Wessely'ego (*Tod und Teufel in der dastrellender Kunst*) jest pobieżna, a prócz tego nie uwzględnia wcale czasów najnowszych, które wydały w malarstwie i rzeźbie najciekawsze i najgłębiej pojęte typy szatana. Na tym punkcie poezja wyprzedziła sztukę plastyczną o dwa wieki prawie, gdyż nie mówiąc nawet o Cedmonie — już w w. XVII Milton podniósł szatana na wyżyny bohaterstwa. Co skłoniło pobożnego purytanina do takiego kroku? Czy jakieś heretyckie zapędy? Nie, prosto poczucie estetyczne i doskonałe zrozumienie charakteru upadłego archaniola, który dlatego właśnie, że był niegdyś archaniołem najbliższym

Stwórcy, nie mógł nawet w upadku zatracić wszystkich cech dodatnich, związanych ściśle z nieśmiertelną naturą istot duchowych. Wieki średnie, przynajmniej w sztuce urzędowej, traktowały szatana jako ohydny poczware, Milton go zrehabilitował. Zły duch, nie przestając być złym, przestał być śmiesznym, a stał się tragicznym i groźnym, niebezpiecznym. Dzieła, rozpoczętego przez Miltona, dokończył Byron, którego Lucyfer stanowi kres ewolucji typu szatańskiego w poezji. Duch Byrona unosi się nad poezją demoniczną wieku XIX; wielu pisarzy pragnęło rywalizować z tytanem albiońskim, żaden go jednak nie przewyższył, a mało który zdołał mu dorównać, chociaż każdy prawie na nim się opierał. I „Lucyfer“ Stucka, jako pojęcie, nie odbiega daleko od bajronowskiego typu. Malarz ujął tylko w kształty plastyczne to, co poeta wypowiedział słowami. Jest to ta sama postać ponura, dumna, potężna, nieugięta, a zarazem bezbrzeżnie smutna. Pod obrazem tym możnaby podpisać słowa, które Lucyfer bajronowski wygłasza, odpowiadając Kainowi: „Ponieważ Bogiem nie mogłem zostać, nie chcę być niczem, tylko tem, *czem jestem.*“ To jednak, czem Lucyfer jest, czem z konieczności został, nie jest tem, czem być pragnął. Pragnął być władcą świata, rozkoszy i życia, a został tylko królem zła, bólu i śmierci: stąd niezadowolenie i smutek tragiczny, który maluje się w wyrazie twarzy, a zwłaszcza w oczach Stuckowskiego demona. Chciał on tworzyć, a musi niszczyć, niszczyć przez wieczność całą... Będzie więc niszczył z zaciętością, będzie walczył bez wytchnienia, ale to mu nie da szczęścia, o jakim marzył, wszczynając nierówny bój o władzę nad światem. „Lucyfer“ należy do najpiękniejszych i najpoetyczniejszych kreacji nie tylko Stucka, lecz i malarstwa współczesnego wogóle.

*Jef Lambeaux: Namietności ludzkie.* Lambeaux należy do najznakomitszych rzeźbiarzy

belgijskich. Przymiotnik belgijski jednak nie określa typu rasowego artysty dość dokładnie. Belgia zaludniona jest przez dwie rasy, różne pochodzeniem, językiem i obyczajami: Wallonów i Flamandów. Otóż Lambeaux jest Flamandem z krwi i ducha. Urodził się w ognisku życia flamandzkiego, w Antwerpii, i odziedziczył po mistrzach flamandzkich, Rubensie, Jordaensie, poczucie prawdy realnej życia, oraz bujny, potężny temperament. Motywy i obrobienie pierwszych jego dzieł („Przypadek“, „Pocałunek“, „Zapaśnicy“, „Upojenie“) przypominają Rubensa. Czuć w nich, jak i w obrazach flamandzkiego tytana, pełnię, a nawet nadmiar życia. Podobny charakter ma grupa na sławnej fontannie antwepskiej, będącej ozdobą starożytności flamandzkiego. Płaskorzeźba, której reprodukcję dajemy w numerze niniejszym, jest niejako syntezą twórczości artystycznej Jefa Lambeaux. Stanowi ona obecnie własność ludu belgijskiego i umieszczoną będzie w muzeum, które rząd specjalnie wybudować kazał. Płaskorzeźba rozpada się na dwie grupy: na lewo widać grono bachantek, upojonych szalem i winem i symbolizujących radość i rozkosze życia. U dołu matka, pieszcząca się z dzieckiem, oraz para zakochanych, zajętych sobą. W środku kompozycji widzimy szereg figur, walczących o władzę, miłość, byt etc.—to źródło cierpień, których obraz wystawił nam artysta na lewej stronie utworu. A ponad tem wszystkim, ponad tym ruchliwym rojem istot, będących igraszką własnych namietności, unosi się—śmierć, spokojna, zimna i nieubłagana... I ci, którzy szaleją, i ci, co walczą, i ci, co cierpią, do niej należą. Wszystkie wysiłki, wszystkie tęsknoty, wszystkie namietności wiodą człowieka do jednego celu—do śmierci. Tak się przedstawia dzieło pana Jefa Lambeaux pod względem ideowym. Co do wykonania, to stoi ono na wysokości tematu. „Aby zrobić arcydzieło,—powiedział niegdyś sam artysta—należy ogrzewać marmur dopóty, dopóki nie ożyje.“ Otóż ze wszystkich figur płaskorzeźby tryska życie, wszystkie one szaleją, walczą i cierpią naprawdę. Ale z tego chaosu torsów, z tej orgii mięśni, wyłania się idea, która przenika całość, idea znikomości życia doczesnego. Dzięki temu utwór Lambeaux sprawia wrażenie nie tylko zbioru doskonałych studyów z natury, lecz poematu plastycznego.

*J. Wodziński: Na raucie.* Wodziński odtwarza najchętniej i najlepiej życie salonów. Na obrazie, którego reprodukcję dajemy, widzimy salon, w którym zebrane towarzystwo rautowe podzieliło się na dwie grupy. Jedna, złożona z czterech kobiet, słucha z zajęciem opowiadania młodego eleganta, który prawdopodobnie mówi, jak zwykle w salonie, o niczem; ale widocznie mówi z wdziękiem, gdyż słuchaczki nie spuszczają z niego oczu. Druga grupa—na prawo—składa się z trzech mężczyzn, zajętych rozmową o rzeczach poważnych: o interesach, lub polityce. Całość ma dużo prawdy i odznacza się doskonałym wykonaniem szczegółów.

*Dom na wywrót.* Wśród wielu mniej lub więcej dziwacznych „figliów“ wystawowych, jednym z najdziwniejszych jest zamek, którego dach opiera się na ziemi, a fundament wznosi się w powietrze. Wewnętrzne urządzenie odpowiada zewnętrznemu: zamiast sufitów są podłogi, do których przytwierdzono meble, a zamiast podłóg—sufity. Całość jest zabawnym figlem, ale nie budzi żadnego poważniejszego interesu artystycznego.

*Pekin.* Oczy całego świata zwrócone są na stolicę państwa chińskiego, w której rozgrywa się krwawa tragedia dziejowa. Jak widać z podanego planu, Pekin składa się z dwóch dzielnic: miasta mandżurskiego albo tatarskiego i miasta chińskiego. Miasto tatarskie jest oddzielone od chińskiego murem, wyższym znacznie od tego, który otacza całą stolicę. Wewnątrz miasta tatarskiego wznosi się w specjalnym ogrodzeniu „miasto ce-



sarskie,“ w którego środku znajduje się mur, otaczający pałac cesarski, zwany inaczej miastem świętem, albo czerwonym. Pekin jest zamknięty dla Europejczyków; tylko posłowie i ich otoczenie mają prawo przebywać w stolicy. Ulica, na której stoją, albo raczej stały, zmienione dziś w kupę popiołów gmachy ambasad i konsulatów, leży w mieście tatarskim, tuż przy murze roz-

gradzającym obie dzielnice Pekinu. Jak widać z rysunków, ulice miasta tatarskiego i chińskiego nie odznaczają się niczem nadzwyczajnym. Są one bardzo ruchliwe, ale brudne i mało estetyczne, wszędzie bowiem wspanialsze gmachy, wyjąwszy kilka świątyń i obserwatorium, mieszczą się w granicach miasta cesarskiego, gdzie stoją pałace rządowe i domy dygnitarzy chińskich. Miasto świę-

te jest zamknięte dla wszystkich, nie wyłączając Chińczyków. Posłowie zagraniczni mają prawo wstępu jedynie do pawilonu audyencyjnego, który stoi dość daleko od gmachów pałacowych. Cyfrę ludności, zamieszkującej Pekin, trudno ściśle oznaczyć; niektórzy podróżnicy podawali 2 miliony, inni—500,000. Pierwsza cyfra zdaje się być za wysoką, druga—za niską. ut

## Kronika powszechna.



Widok tatarskiej części Pekinu.

### Z prasy polskiej.

*Prawda*: „Obchód 500-letni Wszechnicy Jagiellońskiej,“ „O prawdę“ (A. Nosig stara się usprawiedliwić z zarzutów, jakie *Prawda* zrobiła mu z powodu wydania broszury o polityce pokoju).—*Niwa Polska*: „Głowy do poźłoty“ przez Walentyana; „W powijaku pośrednictwa“ (w sprawie owczarstwa).—*Ekonomista*: „Radykalizm we Francji;“ „Bank krajowy we Lwowie.“—*Kuryer Warszawski*: „Przesilenie ekonomiczne“ przez St. K. Kempnera. — *Kuryer Codzienny* daje dalszy ciąg gruntownych artykułów p. P. Malinowskiego o „Artylerii współczesnej.“—*Zorza* N-r 20: „Jubileusz sztuki drukarskiej.“ — *Gazeta Warszawska*: „Mamzel Lulli,“ legenda warszawska (o kabalarce Lhuillier, która wywróżyła Stanisławowi Augustowi koronę).—*Wszechświat*: „O rozwoju metod fizyki teoretycznej w nowszych czasach;“ „O wegetaryanizmie nowoczesnym.“ — *Meloman*, zeszyt VII: „Pieśń elegijna“ Noskowskiego; „Scherzino“ Paderewskiego, etc.

### „Slovansky przhled.“

Czasopismo to, wspomiane już kilka razy w *Tyg. ilustr.*, zaczęło wychodzić w październiku 1898 r. w Pradze, pod redakcją Adolfa Czerneho, zasłużonego badacza rzeczy ludowych, szcze-

gólnie łużyckich, między innymi współpracownika *Wisły* i korespondenta do pism polskich, który postanowił zastąpić ś. p. Edwar- da Jelinka na niwie utrzymywania stosunków i zaznajamiania wzajemnego Czechów i Polaków. Wymieniony w nagłówku miesięcznik zajmuje się sprawami literackimi i społecznymi wszystkich Słowian, przyczem rzeczy polskie są obszernie w każdym zeszycie uwzględniane. W sześciu zeszytach tego- rocznych, prócz stałych korespondencji z Warszawy i Krakowa (przez

zających tego przedmiotu. A. Czer- ny zamieścił swój artykuł o dzie-

Romualdę Bau- le niedawno zmarłego Edmunda Cho- douin de Cour- jeckiego (Charles Edmond'a): „Cze- tenay), oraz re- chia i Czechowie przy końcu pierw- cenzyl książek- szej połowy XIX-go stulecia“ (Ber- polskich, znaj- lin, 1847, 2 tomy). P. Farlynand- dujemy artykuł- Hoesick napisał obszerny przegląd Franciszka Kva- literatury polskiej za rok ubiegły. pila o Zenonie P. Aureli Wiszar skreślił sylwetkę Przesmyckim Aleksandra Świętochowskiego; dany też jest portret autora „Duchów.“ (Miriamie), z do- A. Czerny pisze o jubileuszu Sien- daniem portretu- kiewicza (z portretem jubilata). Ciekawym jest artykuł p. Romualdy Baudouin de Courtenay p. t.: „Haliczci sedláci s pérem v ruce“ (Włościanie galiccyjscy z piórem w ręce, t. j. pi- szący artykuły społeczne, poezye i t. d.); scharakteryzowawszy to zjawisko dodatnie, autorka mówi obszerniej o naj- wybitniejszym pisarzu tej grupy, pośle Jakóbie Bojce, oraz przytacza w oryginalnie polskim piękna „Pieśń oracza“ przez poetę z ludu, Wojciecha Zawadę. Do zeszytu czerwcowego dołączono broszurę, zawierającą hymny narodo- we słowiańskie w oryginałach i w ry- mowanych przekładach czeskich, razem z odpowiednimi melodyami. W tym- że czerwcowym numerze znajduje się artykuł A. Czerneho p. t. „K otaz- ce shody rusko-polské;“ wspominając o innych głosach w tej sprawie, autor zastanawia się głównie nad pracą Bo-



Widok chińskiej części Pekinu.







# NOWE KSIĄZKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Nowele Antoniego Sygietyńskiego \*) — Autor „Drobiazgów,” dobrze znany ogółowi, jako energiczny i śmiały krytyk, mniejszym cieszy się rozgłosem, jako beletrysta. Dwa dawniejsze utwory powieściowe A. Sygietyńskiego („Na skałach Calvados,” „Wysadzony z siodła”) wyrobiły mu opinię surowego realisty,

lubującego się w położeniach wyraźnych i oświetleniach brutalnie jaskrawych, tłumaczącego życie za pomocą bardzo uproszczonej psychologii, jako trywialną grę instynktów elementarnych i uczuć przeciętnych.



Antoni Sygietyński.

Treść niepowabna, ugołocoła ze wszelkich ludzających pozorów, ujęta w karby ścisłej logiki — rozsnuta konsekwentnie, jako łańcuch nieuniknionych przyczyn i skutków, w którym niema miejsca na przypadek lub zwrot nieprzewidywany; psychologia abstrakcyjna raczej, niż konkretna, indywidualna; mnóstwo szczegółów barwnych i znamienych; spostrzegawczość medyczna, a więc także nie przypadkowa; w końcu, nieobecność uczuć osobistych autora, stosunek obojętny, albo dobrze zamaskowany względem tego, na co patrzy i co odtwarza: — oto podstawy realizmu wspomnianych utworów Sygietyńskiego. Był to właściwie realizm doktrynerski, nie ulegający biernie rzeczywistości, lecz wciąż usiłujący ją kształcić, zgodnie z powziętym o niej z góry mniemaniem, biorący z życia świadomie to tylko, co potwierdzało wytworny o niem sąd, co nie nadwierało filozofii autora. To jednakże, co w jej ramach poruszało się swobodnie, było odtwarzane zwykle przez autora w istocie z nieporównaną dokładnością realistyczną, ze szczerością i siłą ludzi, żyjących gruntownymi przekonaniami, któremi byle nacisk zzewnątrz nie potrafi zachwiać. Zresztą w pracach Sygietyńskiego nie tyle treść zwraca uwagę szczególniejszą, ile robota sama, środki wykonania, sposoby opracowywania materiału. Treść — to wpływ „momentu” dziejowego, jakby powiedział H. Taine, — to oddziaływanie prądów i ideałów literackich epoki, podczas gdy sposoby jej ujmowania zależą więcej od skłonności osobistych i usposobień wewnętrznych autora. Co do Sygietyńskiego, to śmiem twierdzić, mając zwłaszcza na względzie obecną jego działalność pisarską, że ściśle skłonnościami swoimi więcej się zbliża do klasyków, w najlepszym znaczeniu tego terminu, niż do realistów, bądź romantyków. I w istocie! w twórczości Sygietyńskiego regulatorem ostatecznym jest „rozum,” świadomość celów i środków, utrzymująca na wodzy wyobraźnię; następnie — żadnych zawilości, zaciemnień, niepewnych sytuacji, chwytliwych działań, żadnych tajem-

nie! Życie nie ma tajemnic, jest wielkie albo małe, poziome albo szczytne: oto wszystko! Dalej żadnej przesady i afektacji (*wydwarczania*, jakby powiedział nasz autor) w wyrazie uczuć, ich sztucznego wysubtelniania, bądź nieumiarkowanego wyrażania. A nadewszystko, gdy chodzi o uczucia, żadnych rozdzwięków, rozstrojów, słabostek i chorobliwych usposobień duszy, gdyż to psuje harmonię wyrazu i gmatwa, a niekiedy zaciera, zarysy rysunku. Tu powinna być widoczność i prawdziwość wielkich linii, śmiałych i znamionujących siłę ruchów. Realizm psychologiczny uprawnia zarówno wszelkie rodzaje i kategorie cierpienia, Sygietyński natomiast uznaje głównie cierpienia „szlachetne,” w wielkim stylu, świadczące o harcie, jeżeli nie prawdziwej wielkości ducha; wszelkie zgrzyty, miotania się i szarpaniny wewnętrzne, wszelkie głośnie użalania się i skargi monotonne dusz kruchych i przeczulonych są mu niemiłe, niekiedy wstrętne. Nadto wymaga on, żeby cierpienie miało dostateczny powód w świecie zewnętrznym, żeby było ustosunkowane do przyczyny, gdyż zaś jest inaczej, cierpienie staje się dla niego urojeniem, czemś sztucznym, przesadzonem, niezasługującym współczucia. Bez wątplenia, jest to rzecz gustu, a raczej słabszych lub mocniejszych nerwów, wszakże liczyć się trzeba z danymi psychologii, która zna kategorie tak zw. „urojonych” cierpienia, o wiele dokuczliwszych i trudniejszych do uśmierzania, niż wszelkie najprawowitsze cierpienia neurojone; która także, gdy chodzi o ocenę cierpienia, nie pyta o ich przyczynę racjonalną, o stopień siły zewnętrznej, sprawiającej ból, lecz tylko o jego natężenie, o poczucie podmiotowe. Do tych rysów klasycyzmu Sygietyńskiego dodać należy: umiłowanie wielkich rodzajów literackich, prostych, niepokreconych dróg twórczych, umiaru artystycznego, harmonii środków i celów, podporządkowanie żywiołowych zasobów twórczości świadomym wysiłkom artyzmu, wreszcie staranne przestrzeganie poprawności formy. Nie tu miejsce na wyczerpującą charakterystykę pisarza tej miary, co Sygietyński, musimy więc na tych kilku zaznaczonych wyżej właściwościach poprzestać. W świeżo wydanych jego nowelach, z których zaledwie kilka powstało w czasach ostatnich, odnajdujemy sporo tych cech i skłonności twórczych autora, o jakich mówiliśmy poprzednio. Wszystko tu jest jeszcze umotywowane, sformułowane dosadnie, bez zastrzeżeń i wątpliwości. Oto dwoje ludzi (nowela „Po czasie”) prowadzi po latach dwudziestu „rozmowę na tle wspomnień.” Niegdyś ci ludzie kochali się, a może ludzili siebie na chwilę, że tak jest; w każdym razie, jakaś nie tajemna uczuć łączyła ich czas jakiś; nie się przerwała — drogi ich się rozeszły. Po latach dwudziestu, odwołują się do punktu styczności ich życia. Czy pozwalają wspomnieniom płynąć swobodnym potokiem? czy dają im wyraz rzewny, niewymuszony? a może, że skruczą w sercu, chyłą czoła przed fatalnością i okrucieństwem ludzkich przeznaczeń — marzeń rozwianych, uczuć nie zaspokojonych? Nie! oni, jak dwaj „doktorowie subtelni,” prowadzą zimny, spiżowy dyalog, szermują słowami, retoryką wymijającą tłumaczając życie serca, charakteryzując ściśle i poprawnie drogi, po których szli, każde z osobna. Jakież rozwiązanie dyalogu, jakież rezultat tej zręcznej gry słów? Ten oto: że „duszę ludzką raz tylko stać na porządy materiały życia,” że „mężczyzna i kobieta w przeddzień wybuchu miłości są jak dwie elektryczności, które starają się równocześnie i z jednakową ener-

gią połączyć... w piorun;” że w przeciwnym razie... burza przechodzi, a wówczas lepiej, żeby głównie uczucia stłily się na popiół same, żeby iskry wspomnień nie rozdmuchiwało w płomień, gdyż zamiast ognia grzejącego może powstać gryzący oczy dym, swąd, od którego można zacządzieć... Co wniosek — to doktryna, to nieubłagana formuła życia, krepująca naturalny jego przebieg, zakreślająca z góry jego drogę i granice. Bywa i tak, jak powiada autor, ale bywa inaczej. Życie jest lepsze, może gorsze, ale w każdym razie mniej skończone od tych formuł surowych, zna rozmaite ustępstwa, przystosowania, wahania, zwroty nieoczekiwane i t. p. Reguły autora są zbyt abstrakcyjne, za wiele zawartości konkretnej życia wyłączają; rozwija je jednak Sygietyński w sposób niepospolity, z logiką nieprzeparą, zręcznością niezwykłą, a przytem z jakim wytwornym i powściągliwym artyzmem! Nie nad nim materiały uzbierany panuje, lecz on nad materiałem. Sygietyński zawsze sam się ogranicza, materiałem nie szafuje i nie psuje go: umie wszystko we właściwy sposób spożytkować, z każdej rzeczy wydobyć to wszystko, co ona dać może. Do efektów ostatecznych przygotowuje się Sygietyński powoli i plan swój przeprowadza stopniowo, wykonywając go częściami; dlatego efekty jego są organicznie związane z tymi przyborami, które je poprzedzają, są zawsze wynikiem naturalnym, nie zaś dodatkiem, niezależnym od całości. Szczytem, wzorem doskonałym podobnej twórczości jest drobny utwór p. t. „Skałotocz-Palczak.” Chodzi tu tylko o szczególniejszy gatunek małża, istotę, tak nisko stojącą w hierarchii świata zwierzęcego, tak mało zróżniczkowaną pod względem nerwowym, że wspaniały „homo sapiens,” nawet przejęty filozoficzno-boddyjską miłością wszechstworzenia, nie wiedziałby, co począć z podobnym fantem, i co w nim godnego sympatii odszukać? A jednakże autorowi to się udało — i jak jeszcze! Gdybyśmy nawet nie upatrywali w tem symbolu ogólniejszego życia, jakiejś alegoryi wielu ludzkich przeznaczeń, toć wówczas jeszcze utwór Sygietyńskiego, jako doskonała monografia przyrodnicza, bezpośrednio losom „Skałotocz-Palczaka” poświęcona, potrafiłaby nami wstrząsnąć. Jest to prawdziwa tragedia, duchem fatalizmu nieuniknionego przejęta, ponura i majestatyczna zarazem. Skałotocz-Palczak czepia się pierwszej lepszej skały, jaką na drodze swego przeznaczenia spotyka, i draży ją bez przerwy, poruszany żywiołową siłą instynktu. W pracy tej bezinteresownie zużywa siebie całego, pracuje mechanicznie skorupami swemi i chemicznie — gryzącą wydzieliną swego organizmu. Jedynym celem jego życia i działania jest: przebić nawskroś skałę, do której jest przyczepiony. Więc idzie wciąż naprzód, raszpluje, bądź rozpuszcza skałę kwasem, idzie wzdłuż, w ukos, w poprzek, byle uczynić zadość nakazowi przeznaczenia, byle dojsć kresu pracy i życia. Ale czy zawsze dochodzi? Nie wszystkim sądzono dokonać dzieła wraz z żywotem. W chwili, kiedy najmniej sił i życia skąpił, natrafił na przeszkodę trudną do zwalczenia: to inny małż, skałotocz, może młodszy, mniej zużyty i spracowany, wyszedłszy z innego punktu, natknął się na jego drogę, przeszył go na wylot, również ulegając nakazowi własnego przeznaczenia, i, jakby nic, poszedł dalej... „Nie była to nawet walka, lecz skrzyżowanie się dwóch dróg przeznaczenia na jednym polu działania.” Wszelkie analogie rzucają się same w oczy, przychodzą na myśl rozmaici „samotni pracownicy,” którzy tak samo, jak ów małż

\*) „Drobiazgi.” Lwów, nakładem Towarzystwa wydawniczego. 1900 r.



bezwrażliwy, kruszą i drażą bez wytchnienia jakąś skałę, spełniając wyroki przeznaczeń, za cenę życia własnego. Może na pracy tych skromnych i pospolitych pracowników więcej zyskuje ludzkość, może ich wysiłki skuteczniej realizują ideały prawdy i dobra, niż rwące i namiętne wzloty indywidualności potężnych. Tamci pozostawiają po sobie fizyczne tylko ślady swojej działalności, chwały natomiast żadnej, jako istoty bezimienne; ci ostatni, sobie wciąż świecą, nie komu. Nie naciskamy na tę stronę utworu Sygietyńskiego, bez względu na jego alegoryę, rzecz sama mówi za siebie, tragedia „krzyżowania się przeznaczeń na jednym polu działania,” pozostanie zawsze najokrutniejszą tragedią życia wogóle. Wobec niej milczy oburzenie, ustaje działanie sprawiedliwości ludzkiej—niema tu kogo do odpowiedzialności pociągać. Jedni drugich przesywają na wylot „jakby nie”—bez złego rozmysłu—i idą dalej. To życie właściwie idzie wciąż dalej, bez przerwy... Co tam komu po jakimś fosforyzującym „Skałotoczu!” Jakaś cierpkość charakteryzuje wszelkie wogóle wnioski Sygietyńskiego o życiu. Każdy dramat życia przedstawiony jest u niego tak surowo, że tylko fizyczną budzi w nas grozę, wstrząsa, ale nie rozrzewnia i duszy do tkliwszych uczuć nie pobudza („Gemma“ np.). Ale też, dzięki temu, dramatów autora nie psuje żywioł melodramatyczny, nie psują częste deklamacje i emfazy napuszone. Ludzie się nie pozwalają nam autor nigdy, marzeniom nie otwiera przestworzy, mgłami widnokregu nie zasnuwa; lubi owszem zewsząd zdzierać zasłony konwenansów, zlewać marzycieli zimną wodą, psuć im wszelkie idylle („Noc Świętojańska,” „Nasza kochana pani”) i szydzić z lekka z ich ułud naiwnych. Każdy zakątek nędzy życia stara się Sygietyński zbadać i rzęsiście oświetlić, światło, jakiego używa, nieraz strasznie rżnie w oczy—trzeba po nim długo wypoczywać... Ale Sygietyński nikogo nie zwodzi, nikomu nie schlebia, sztuczkami kuglarskimi nie wabi tłumów, karmelkami nie zdobywa przyjaciół. Gardzi taniemi efektami i łatwymi powodzeniami, lubi wysiłek, trud, wytrwałę doskonalenie się, na chwilę ulotne „szczęśliwego“ natchnienia nie zwykł liczyć. Prace jego powstają w atmosferze powagi, oddania się przedmiotowi, szczeroci i rozumowi—dlatego przejmują szacunkiem i budzą ufanie.

Wł. Jabłonowski.

## ODPOWIEDZI.

Serwus. Odpowiedź była dana. Kwestya zasługuje na poparcie, ale trzeba poczekać aż się skończy jubileusz Sienkiewicza. Dwie akcje równoległe mogłyby się wzajemnie paraliżować.

P. Z. P. w Sosnowcu. Niestety o szkole tej nie mogliśmy się nic dowiedzieć.

P. T. R. w Sosnowcu. Mając posadę, uczęszczać do szkoły—to trochę trudno, ale można uzupełnić wykształcenie pracą domową.

Z. Lwowski. Nie przewyższa miary średniej.

P. Zofia Prz. Nie.

P. St. L. w Ufie. Sądzymy, że świadectwo szkoły rządowej powinno wystarczyć.

Laknący wiedzy. Chcąc otrzymać stopień doktora w uniwersytecie niemieckim, trzeba przedstawić patent gimnazjalny i słuchać wykładów przez kilka semestrów. Kto posiada dyplom uniwersytecki, może być dopuszczony odrazu do egzaminów i do obrony rozprawy. Zresztą pod tym względem nie wszystkie uniwersytety postępują jednakowo. Zawsze jednak bez patentu gimnazjalnego i dyplomu uniwersyteckiego obejść się nie można.

Justyna. Nie do druku.

P. A. St. K. Z Rom. Nie wiemy.

P. Julian Łos. Rosz. Dziękujemy za życzliwe wyrazy i za informację o literaturze białoruskiej.

Zropaczony. Lekarstwa pewnego podobno niema. Niech się Pan poradzi lekarza chorób skórnych.

Nawojka. Żeby zmieścić tak potężny temat w tak małej ramie, trzeba posiadać talent. Zwykła rutyna pisarska nie wystarczy.

Roja. Wspomnień—promień to nie rym. Wiersze na ogół słabe.

Pan J. M. A...lcz w Galicyi. Wydania zupełnie odpowiedniego niema; z czasem będzie przy „Tygodniku,” jako ciąg dalszy dodatków bezpłatnych.

Jednemu z tych, co niewiadomo po co na świat się zjawił. Odpowiedzi grafologiczne obecnie nie dajemy na nowe zapytania, do czasu załatwienia się z zaległościami. Ogłaszamy o tem w każdym prawie numerze.

P. F. Siukam. Nie mówi się w pierwszym przypadku l. mn. „Wierszy,” lecz „Wiersze.” Nadziei na przyszłość nie rokujemy. Błędy gramatyczne, stylistyczne i wykroczenia przeciw prawdom prozody czynią utwór Pański niemożliwym do druku.

Alf w Galicyi. Powstało—wydała, prawdziwy—nieszczęśliwy—to rymy ubogie, t. zw. częstochowskie. Całość banalna.

As—Et. Nie można mówić:

Gdy słońce jasne tuż

Spogląda na mnie się.

To brzmi fatalnie. Wszystkie wiersze Pańskie są przepelnione podobnymi błędami.

Głow. w Kijowie. Historii „Abla i Kaina” nie można mierzyć łokciem realizmowym.

P. H. Witkowska w Krakowie. Nie.

P. A. Łukaszewski. Zakład hydropatyczny doktora Jagniątkowskiego na Nowym-Świecie. Apteki—niema.

P. Witold Fl. Herbu Sienkiewicza nie znamy.

P. Wł. Kossecki. Notatkę oddaliśmy jednemu z literatów, zbierających materiał do biografii autora „Quo vadis.”

Gimnazistka. Jeskego, Dygasińskiego i Wernica, oraz przekłady: Spencera „Wychowanie fizyczne, umysłowe i moralne,” Pereza „Trzy pierwsze lata dziecka,” roczniki „Przeglądu pedagogicznego.”

P. K. R. „Bajeczka” nie do druku.

## Od redakcyi.

Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego” w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

## Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego” rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.

Kwartal I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

N A D E S Ł A N E.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA i WOFFA:

STEFANA ŻEROMSKIEGO

## LUDZIE BEZDOMNI

Wydanie 2-gie, 2 tomy Rub. 2.

## UTWORY POWIĘSICOWE

Treść: Na pokładzie.—O żołnierzu tułaczem.—Tabu.—Cienie.—Kara.—Legenda o bracie leśnym.—Promień. Rub 1.20.

—\*

ADAMA KRECHOWIECKIEGO

## NAJMŁODSI

Powieść. Wydanie drugie, 2 tomy. Rub. 2.—

## RDZA

Powieść. 2 tomy. Rub. 2.40.

## STAROSTA ZYGWULSKI

Powieść historyczna. Wyd. 2, 2 t. Rub. 2.—

## SZARY WILK

Powieść historyczna. Wydanie 2. Rub. 1.50.

## VETO!

Powieść historyczna. Wyd. 2, 4 t. Rub. 4.50.

## Biuro Bankowe Gazety Losowań

Krakowskie-Przedmieście Nr 53,

od 1 sierpnia 1900 r. Krakowskie-Przedmieście  
nr 47/49 dom własny

ma honor podać do wiadomości, iż wystawia

PRZEKAZY I LISTY KREDYTOWE

na wszystkie miejscowości świata, specjalnie

na PARYŻ (BIURO W GMACHU WYSTAWY)

oraz na miejscowości kuracyjne:

Aix-les-Bains, Arcachon, Biarritz, Dieppe, Pau-Trouville, Vichy, Franzensbad, Karlsbad, Marienbad-Ischl, Gmunden, Teplitz, Akwizgran, Baden-Baden, Ems, Homburg, Kolobrzeg, Kissingen, Nauheim-Schlangenbad, Wiesbaden, Ostenda, Spaa, Zakopane, Krynica, Szczawnica i t. d.

Przekazy te i listy kredytowe zabezpieczone być mogą: gotowizną na procentowym rachunku bieżącym, papierami publicznymi, weksłami lub hypotekami.

## Herman i Grossman



16 Mazowiecka 16

Skład Fortepianów, Pianin i Organów.

Wynajem.

Sprzedż na raty.

Warszawa, Petersburg, Moskwa, Łódź, Lublin.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

## FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek oczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

PRZEPROWADZKI  
A. WRÓBLEWSKI i S<sup>KA</sup>  
TRĘBACKA 13.  
OPAKOWANIE  
MEBLI